

Polowanie na żubry w XV wieku.

Jedność myśliwska w Polsce.

Do Towarzystw Zrzeszonych w Polskim Związku Myśliwych.

Dnia 21 czerwca b. r. odbył się Sejmik P. Z. M., na który oprócz delegatów Towarzystw należących do Związku przybyli delegaci Centralnego Związku Polskich Stowarzyszeń Łowieckich w Warszawie pp. wiceprezes Antoni Wysocki i pułk. Skrzyński.

Punktem ciężkości W. Zebrania była sprawa załatwienia przykrego zatargu pomiędzy t. zw. Centralą poznańską i Centralą warszawską i osiągnięcia w ciężkich obecnych czasach dla polskiego łowiectwa porozumienia i polubownego załatwienia sporu.

Wkrótce okazało się też obustronne pojednawcze usposobienie. Po dłuższej dyskusji i obopólnych wyjaśnieniach delegaci warszawskiej Centrali przyznali, iż okólnik rozesłany przez jej „Wydział Wykonawczy" był krzywdą wyrządzoną Zarządowi P. Zw. M., iż pierwszymi inicjatorami założenia Związku towarzystw myśliwskich na całą Polskę był Polski Związek Myśliwych, właściwi organizatorzy Centrali warszawskiej przekroczyli swoje mandaty a zaczepienie osobiste członków Zarządu było niesłuszne i bezpodstawne, z powodu

czego obecnie delegaci wyrażają swoje ubolewanie.

W czasie przerwy ustanowionej przez Marszałka Sejmiku p. pułk. Chłapowskiego przyszło za pośrednictwem p. jenerała Raszewskiego do porozumienia, na mocy którego Polski Związek Myśliwych się rozwiąże, a Centr. Zw. Pol. Stow. Łow. przyjmie wszystkich dotychczasowych członków Zarządu pp. Wł. Jantę Połczyńskiego, jenerała Antoniego Unruga, st. ref. wojsk. Alfreda Paruszewskiego i Franciszka Unruga, a nadto p. pułk. Chłapowskiego, jako wiceprezesa, do swojego Zarządu.

Układ ten Sejmik zatwierdził jednomyślnie. Wszyscy wyżej wymienieni oświadczyli gotowość przyjęcia urzędów, przyczem p. Wł. Janta Połczyński oświadczył, iż uważa to przyjęcie Zarządu P. Z. M. do warszawskiej Centrali jako słuszną, należącą się satysfakcję, uważa ją wszakże co do swojej osoby, jako jedynie honoris causa powziętą i jak to już wielokrotnie powtarzał, stojąc przez 20 lat na czele stowarzyszeń Wielkopolskich (w tem10 lat jako redaktor pisma łowieckiego), uważa, iż zadanie swoje wśród współobywateli na tem polu wypełnił i żadnego urzędu nadal nie przyjmuje.

Pozostałe fundusze towarzystwa uchwalono przekazać na rzecz Spółki Myśliwskiej wydawniczej w Warszawie.

Podając powyższe uchwały ostatniego naszego Sejmiku do wiadomości oświadczamy, iż uważamy przystąpienie wszystkich Towarzystw do C. Z. P. S. Ł. za właściwe, a utworzenie jednolitego frontu jako jedyną naszą siłę odporną przeciw licznym wrogom łowiectwa. Spełniając zaś ostatnią naszą czynność zwracamy uwagę na Spółkę myśliwską wydawniczą założoną w Warszawie. Nabyła ona od „Prasy“ warszawskiej Przegląd Myśliwski i Łowiectwo Polskie i zamierza pismo to podnieść do znaczenia wydawnictwa, stojącego na wysokości polskiego łowiectwa i wydawać je jako tygodnik illustrowany.

Ostatnią tę naszą czynność popieramy gorącą prośbą przyczynienia się wzięciem chociażby jednego udziału przez każde Towarzystwo, dla podniesienia kultury naszej w dziedzinie oświaty, tej najważniejszej podstawy każdego przedsięwzięcia i zawodu.

Przez gremjalne wstąpienie do Spółki utrzymamy ją w rękach naszych t. j. polskiego prawidłowego myśliwstwa.

Dziękując wszystkim, którzy nas przez pięć lat istnienia Polskiego Związku Myśliwych popierali, wołamy im po raz ostatni.

„Cześć Myśliwym“

Wł. Janta Połczyński
Wielki Łowczy

Antoni Unrug
I zastępca W. Łowczego

Franciszek Unrug
Sekretarz

Alfred Paruszowski
II zastępca W. Łowczego

Poznań, dnia 24 czerwca 1924.

W SPRAWIE PODATKU OD POLOWANIA.

Żadna gałęź gospodarstwa wiejskiego nie jest u nas tak pognębiona, jak nasze łowiectwo. I z góry i z dołu zewsząd sypią się na łowiectwo same tylko sprzeciwy i prześladowania. Jak od złych duchów musi się ze wszech stron opędzać i bronić hodowca zwierzyny. Napróżno będzie on szukać poparcia i pomocy, niema zrozumienia dla naszego łowiectwa, ani nawet u znakomitej większości najwyższych władz. Zewsząd jakby uwzięto się zgodnie, by tę gałęź naturalnego bogactwa kraju zniszczyć z kretesem, a z pól i lasów usunąć wszelkie życie, wyrugować ostatnią zwierzynę. Napróżno wyjaśnia świat łowiecki w swych pismach i wydaniach ekonomiczne znaczenie łowiectwa dla państwa, przytacza zyski, które przynosi ta gałęź gospodarstwa wiejskiego w ościennych państwach na zachodzie, jakie odgrywa znaczenie w duchowem życiu narodu, ba, nawet może odegrać w sprawie obrony państwowej. Za wyjątkiem kilku osób z Ministerstwa Rolnictwa i D. P. nie znajduje ten głos zrozumienia u nikogo, nie wywołuje najmniejszego zainteresowania się tą sprawą.

Ostatnim ciosem wymierzonym obecnie w nasze łowiectwo jest uchwała o podatku gminnym od wykonywania polowania. To cios pewny i niezawodny, bo też niczem tak gruntownie podciąć nie można jak spowodowaniem ruiny ekonomicznej.

Śród szeregu działów gospodarstwa wiejskiego zostało tą uchwałą „wyróżnione“ nasze łowiectwo. Po opłaceniu gruntowego podatku, nie jest więcej

obciążany właściciel gruntu jakimkolwiek dodatkowym podatkiem z tytułu prowadzenia na nim gospodarstwa rolnego, leśnego, ogrodowego, rybnego, chmielarstwa, pszczelnictwa e t. c. — jeden tylko hodowca i myśliwy będzie zmuszony opłacać od wykonywania polowania na swym gruncie jeszcze osobliwy podatek.

Najwidoczniej zostało nasze łowiectwo zaliczone do rzędu zbytków. Dziś jeszcze polowanie w pojęciu bardzo wielu u nas to „pańska zabawa". W średniowiecznych czasach stanowiło polowanie przywilej królów i możnowładców, a obecnie gdy zbrakło królów i wielkich panów zostanie przywilejem paskarzy i tych co potrafili w krótkim czasie nabić kieszenie okradając skarb narodowy, dla ludzi biednych i średnio zamożnych polowanie staje się niedostępnem.

W czterech dzielnicach polski podatek w rozmiarze 0,5, 0,30, 010 i 0,05 złotych od jednego hektara przestrzeni posiadłości gruntowej tylko z tytułu wykonywania polowania, pomijając całą jego niesłuszność, w najmniejszej mierze nie odpowiada rzeczywistości.

Według p. p. Rożyńskiego i d-ra E. Schechtela („Ekonomiczne znaczenie łowiectwa dla naszego kraju") ewentualny odstrzał w Polsce na 1000 hektarach, po doprowadzeniu naszego łowiectwa do zupełnego rozkwitu, mógłby wynosić rocznie: 145 zajęcy, 175 kuropatw, 30 saren oraz 24 sztuki różnej innej łownej zwierzyny. Wartość tej ilości zwierzyny zgodnie z obecną ceną rynkową może wynosić około 1100 złotych p.

Po potrąceniu z tej cyfry poniesionych rozchodów na ochronę i podkarmianie zwierzyny, oraz przyjąwszy pod uwagę, że zwierzostan w Polsce został zniszczony przez wojnę co najmniej w rozmiarze 50 proc. w b. zaborze pruskim, a w zaborze austryjackim i rosyjskim w znacznie większym jeszcze stopniu, oraz że powyższe cyfry są przytoczone przez p. p. Rożyńskiego i d-ra Schechtela jako kres, do którego tylko dojść możemy po długiej i mozolnej pracy, sądzę, że nie będę w błędzie przyjmując w dobie obecnej wartość upolowanej zwierzyny w najlepszych rewirach łowieckich z zaborze pruskim w rozmiarze 200 zł. na każde 1000 hektarów. To też czy być może do pomyślenia opodatkowanie tej przestrzeni tylko z tytułu wykonywania polowania w ilości 500 zł.

A w tym rozmiarze zostały już otrzymane nakazy płatnicze przez myśliwych w b. zaborze pruskim.

Na Kresach Wschodnich ten podatek wynosi 5 groszy od hektara, gdy podatek gruntowy od gleby podleśnej wynosi groszy 12, czyli że łowiectwo traktowane w lasach państwowych tylko jako jeden z „użytków ubocznych" zostaje obciążone podatkiem w rozmiarze prawie połowy podaktu od powierzchni przeznaczonej dla produkowania drewna, stanowiącego jedno z największych bogactw tego kraju.

Zważywszy w dalszym ciągu, że po za tym nowym podatkiem nasz świat łowiecki opłaca od dawna podatek od karty łowieckiej oraz od posiadanej broni (26 zł. od dubeltówki) pomimowoli nasuwa się myśl, że o ile nie był ten podatek od wykonywania polowania ustanowiony niebacznie, to chyba w celu by postawić krzyż na naszem łowiectwie.

Bolesław Świętorzecki.



W puszczy Białowieskiej. Strzał. Fot. Sarjusz Wolski.

Polowanie na myśliwych.

Jesteśmy wszyscy świadkami dziwnego zjawiska. Cała zwierzyna łowna posiada oznaczone prawem okresy podczas których wolno na nią polować i okresy w czasie których podlega ochronie. W czasie ochronnym następuje sezon martwy dla łowiectwa — polowania ustają — strzały milkną.

I jedne tylko łowy odbywają się u nas bez ustanku, bez względu na porę roku —są to łowy na myśliwych, w których Państwo, niemiłosierny Nemrod, niepomny na ochronę gatunku, zapomocą srogich podatków tępi rodzaj myśliwski, jak się tępi szkodników i drapieżników.

Ostatnim ciosem jest podatek gminny od polowań — ruina prawidłowego łowiectwa, podpora kłusownictwa.

Widać z tego, że sfery miarodajne polują na myśliwych nietylko zapomocą dozwolonych sposobów łowieckich, ale i na sidła, ale i na wnyki.

Czyżby prawodawstwo chroniące (na papierze) zające i kuropatwy nie mogło ustanowić czasu ochronnego, w którymby nie wolno było tępić w Polsce prawidłowych myśliwych? Możeby tak, na początek, w czasie lęgowym?

W przeciwnym bowiem razie myśliwi polscy na liście szkodników i drapieżników obok jastrzębi i lisów, obok wron i łasic będą musieli umieścić „odnośnych“ urzędników podobnych tem do lisa i łasicy — że są szkodnikami w myśliwstwie, a podobnych tem do jastrzębia i wrony—że mają też ptasie mózgi.

Juljan Ejsmond.

Z Poznańskiego Związku Myśliwych.

Zarząd Oddziału Poznańskiego Polskiego Związku Myśliwych podaje swoim p.p. członkom i sympatykom do wiadomości, że w końcu sierpnia r. b. odbędzie się premjowe konkursowe strzelanie myśliwskie wyłącznie dla członków Związku, na wspaniałej i uroczo położonej nad Wartą strzelnicy Bractwa Strzeleckiego w Szelągu.

Piękne premje oraz strzelanie samo, które się odbędzie według regulaminu Komitetu Igrzysk Olimpijskich w Paryżu, budzi już dzisiaj wielkie zainteresowanie wśród amatorów tego sportu. Strzelać się będzie do tarczy stałych, ruchomych i rzutków.

Amatorzy, chcący się wtrenować w strzelanie do rzutków, zechcą się skomunikować z p. Paruszewskim właścicielem składu broni, przy ulicy Woźnej.

Bliższych informacji udziela sekretarjat Związku przy ulicy Św. Marcin. 42. Programy wysyłane będą do p.p. członków Związku 2 tygodnie przed terminem konkursu.

Sekretarz: (—) *W. Kostro*

Za Zarząd Prezes: (—) *K. Chłapowski*

LIPIEC

(Z Cyklu: „Rok myśliwego-przyrodnika“).

Dzień był upalny. W samo południe, właśnie w największym skwarze wybrałem się na moje łowisko błotne.

Zamierzam niedługo zaprosić kilku dobrych myśliwych i przyjaciół na łowy błotne, na kaczki i na bekasy, a celem mojej dzisiejszej wycieczki jest tylko lustracja błotnego rewiru.

Drogą przez bażantarnię doszedłem do łazienki leżącej nad rzeczką Głuszynką i położyłem się przy niej na miękkim kobiercu łąki. Zbyt wiele rzeczy ciekawych wabiło oko i prosiło o krótką chwilę uwagi.

Nad modremi kępami bodziszcza, fjoletem szałwji łąkowej, żółtokwitnącemi szelężnikami, nad krwią oblanemi kwiatami fioletki, żywokostu i krwawnicy kołysały się dzieci światła i miłości: — motyle, na łące pełnej brzęku pszczół i buczenia trzmieli. Lecz znacznie jeszcze piękniejsze było życie na wodzie i po jej brzegach. Tam nietylko migało się i jaśniało od promieni słonecznych, kąpiących się w czystych falach wody, ale lśniło się nadto od błyszczących ważek i świtezianek, które bujały jak klejnoty drogocenne nad wodą, to polując na obfitą zdobycz z państwa owadów, to siadając po żółtokwitnących kosaćcach, różowobiałych żabieńcach, osokach i okrężnicy, by ze spokojem zjadać swoje ofiary. Przypatrywałem się też pracy budowlanej osy — kopułki na ścianie łazienki, a w wodzie przelicznych gromad uklejek, cierników, ociężałych płotek i białków. Z niedalekiej, wysokiej, kwaśnej trawy przeciwległej łąki odezwało się krótkie wołanie derkacza. Pokazał się też niedługo ten rudy ptak, przefrunąwszy krótką przestrzeń ciężkim lotem. Ponieważ powątpiewam, by o tej porze derkacz mógł się bawić w zaloty lub konkury zaczepne, musiała się zrodzić myśl, że jakiś drapieżnik

w gęstwinie traw swoje niepożądane rzemiosło uprawia. Chciałem się właśnie przeprawić przez rzekę, gdy coś plusnęło i ujrzałem po wodzie sunącego prawie bez szelestu szczura wodnego. Nie zdążyłem jeszcze dać hasła, a już się pies rzucił sam z siebie, bez mojej zachęty w wodę. Szczur dał klucza i zniknął pod gęstą ścianą psianki. Przekonany byłem, że się szczurowi udała ucieczka do nory. Lecz nie! Krótki świst i wyżeł ze szczurem w kufie się wychylił.

Z żalem opuściłem urocze to miejsce, kazawszy wyżłowi bobrować przedemną po przestrzeniach łąkowych. Przebrodziliśmy i przecieraliśmy tak we dwójkę cały obszar łąk, wybrzeża rzeczki, torfowiska i bagniste zarośla. Bekasów nie było wiele, może razem kilkanaście sztuk. Może ich jest więcej, bo przy dzisiejszym skwarze w samą południową porę siedzą twardo, aż trzeba je było wydeptywać. Kaczek spotkaliśmy jedną parę starych, 3 stada młodych. Pierwsze najmniejsze stadko starało schronić się przed nami w nadbrzeżnych szuwarach; z drugiego stada spostrzegłem w trzciniskach zabagnionego torfowiska tylko jedną młódkę, która przed nacierającym w wodzie wyżłem dała nurka; tylko trzecie, aż jedenaście młodych liczące stado spokojnie obserwować mogłem. Zbliżyłem się za ścianą trzciny do mocno już zarastającego torfowiska i ujrzałem starą kaczkę i rozpierzchłe po całej wodzie, uganiające się zgrabnie za muszkami stado młodziutkich jeszcze kaczek. Długo to jeszcze trwało, aż dostrzegła mnie stara kaczka, ciągle oglądająca się za wrogiem. Tym większy był jej i całej gromadki przestrach, gdy mnie zobaczyły. Na pół pływając i skrzydełkami trzepocząc znikła cała czereda w mgnieniu oka w gęstwinie sitowia. Stwierdziłem przynajmniej jedno, że wyrośnięte były i w szypułach młódki z pierwszego stadka; młódki z drugich stad miały około miesiąca.

Przy tej obserwacji nasunęły mi się dwie myśli. Pierwsza, że dopiero za parę tygodni będzie można na kaczki polować, a druga, że prawo nie powinno wyznaczać stałego terminu otwarcia polowania na kaczki w dniu pierwszego lipca, tylko stosownie do warunków każdego poszczególnego roku województwami rokrocznie termin o miesiąc w tę lub drugą stronę przesuwać. Wiem, że były lata, gdzie już z końcem czerwca widziałem podloty, ale na ogół spotyka się każdego roku jeszcze w lipcu i nawet w sierpniu zupełnie niewyrośnięte młódki. (Zwykle z drugiego lęgu). Są i lata, gdzie z powodu późniejszej i niekorzystniej wiosny w terminie otwarcia polowania ani jedno stado nie jest wyrośnięte. Gdyby prawo miało być zmienione i czas ochronny dla kaczek przedłużony o miesiąc, wtenczas nietylko ilość kaczek zwiększyłaby się w kraju, ale i obyłoby się bez niepokojenia bekasów, czajek i t. d. podczas ich drugiego lęgu.

Rewir błotny jeszcze zamieszkały był prócz kilku par czajek, strasznie na mego wyżła nacierających i kilku brodźców krwawodziobych, przez kuliczki nakrapiane, o których obecności tylko się dowiedziałem z ich słabiutkiego ale nieustannego odzywania się podobnego do tykania zegara.

Przy jednem torfowisku bobrował wyżeł tak natarczywie dokoła jednej kępy, że według mego przekonania uganiać chyba się musiał za zwinnym derkaczem lub wodnikiem. Lecz wyruszył z gęstwiny szczura, który odemnie otrzymał strzał, że aż kilka metrów prostopadle wzleciał w powietrze. Uśmierciliśmy dzisiaj dwa szczury. W[illegible] [illegible]zędzie, gdzie tylko na błotach, nad wodami [illegible] polowałem, napotykałem to wstrętne zwierzę [illegible]. I tu chcę zaznaczyć, że za mało się zwraca uwagi na szkodliwość szczura, jako niszczyciela zwierzyny. Fakt ten mało jest znany nawet przez najlepszych myśliwych, podczas gdy z doświadczenia twierdzę, że w podobnych warunkach szczur jest znacznie szkodliwszym, niż np. okrzyczana łaska.

Pierwsza część mego programu myśliwskiego była ukończona. Dosyć już długo zresztą na łąkach bawiłem. Bydło, kozy, gęsi zewsząd schodziły z gór i napełniły przestrzenie łąkowe rykiem i życiem.

Po odświeżającej kąpieli, wziętej przezemnie i wyżła, skierowałem się w stronę pól ku górom, gdzie żniwiarka kończyła resztę jęczmienia. Przyszedłem właśnie w samą porę. Był tylko jeszcze wąski skrawek do skończenia. Mówił mi fornal, siedzący na kosiarce, że przed południem wyskoczyła z jęczmienia koza z koźlętami i kilka zajęcy. Po poł. niestety zdążył już starej bażancicy uciąć kosą głowę. Była to prawdopodobnie stara kwoka, która nie chciała odejść od swoich piskląt. Żniwiarki wogóle są strasznem narzędziem niszczącym zwierzynę. Niewiem, czy bezustanne tyrkotanie żniwiarek zwierzynę tak zastrasza, że traci zmysły, czy też ciągły oddźwięk raz dalszy, raz bliższy, zwierzynę do tego stopnia przyzwyczaja, że przestaje się w końcu bać tego niebezpieczeństwa. Faktem jest, że kośnicy ani w dziesiątej części nie naniszczą tyle zwierzyny co żniwiarki. A dopiero kosiarki do koszenia traw, to czysty bicz Boży dla bażantów i kuropatw. Kosi się trawę zwykle w tym czasie, gdy właśnie mają się młode wykluwać. Wtedy nietylko przecina kosiarka matkę, niechcącą do ostatniej chwili opuścić gniazda, ale i dużo naniszczy jaj. Śmiało rzec można, że kosiarki zmarnują tak w koniczynie, jak i na łąkach połowę przychówku. Środków zaradczych mamy kilka W czasie gnieżdzenia się ciągle przechodzić przez łąki, by zniechęcać do zakładania gniazd; albo przed kośbą wyszukiwać za pomocą wyżła gniazda i oznaczać, by je kosa ominęła. (Lecz nie za małe miejsca zostawiać, gdyż wtedy skrzydlate i dwunożne rabusie za łatwą mają orjentację!), albo przesuwać tam, gdzie najwięcej spodziewać się można bażantów, termin sianożęcia do chwili wylęgu. W polu strzelec zawsze ma nakaz pilnować ukończenia zżęcia zbóż. Dziś sam strzelca zastępuję i dla tego każę wyżłowi wejść w jęczmień, celem przeszukania resztki stojącego jeszcze na pniu jęczmienia. Zamiar mój został uwieńczony dobrym rezultatem. Dwa żaczki wybiegły przed moim wyżłem, kilka starszych wielkości kuropatwy bażantów wyleciało, a w końcu stara bażancica za nią zaś kolejno, jedno za drugiem, stado bażantków wielkości zaledwie wróbli. Chwała Bogu, że matka tych najmniejszych jeszcze przy życiu! Gdyby było inaczej, całe stadko byłoby poszło na zmarnowanie! Lecz najlepszy kęs przyszedł na ostatku! Postawa wyżła, wystawiającego coś w samym narożniku, oznaczyła mi z wszelką pewnością drapieżnika. Szybko wpakowałem Nr. 3 do lufy i chyzia — już wyprysł tłusty jak skop, bażantami utuczony kot swojski. Bęc! Skończył się żywot zbójecki. Wyżeł go zaaportował,

ledwie mogąc go unieść. Znów dowód, jak potrzebny jest dozór przy żniwach! Kot zdobyty zadowolił moje aspiracje myśliwskie na razie i uważałem za wskazane wrócić do domu na kawkę. Po drodze jednak, zmorzony spieką dzisiejszą, położyłem się. Drżące od spieki słonecznej powietrze migotało nad rozgrzanemi polami... Życie w takiej spiekocie usnęło, żaden skowronek nie tyrlikał, żadna wrona nawet się nie pokazała. Tylko słychać było głos przedziwny, jednostajny, strumieniówki świerszczaka — sirl-l-l... podobny do dźwięku wirującego talerza; rzępolenie świerszczów i pasikoników, brzęk zielono połyskujących żuków i much drapieżnych—odgłosy, które się dziwnie zlewają z chrzęstem wzajemnie uderzających się lekko kłosów żytnich i stukotem monotonnym żniwiarek.

* * *

Po kolacji, już po zachodzie słońca, po raz ostatni dziś rzuciłem okiem na mój rewir, który się nie kładł, jak powinien, do snu, lecz przeciwnie, dopiero zaczął się ożywiać. Zwierzyna, zmorzona upalnym dniem, wychodziła teraz ze swych kryjówek. Widziałem na łąkach kozę żerującą, mającą pod sobą pomiędzy biegami, jak w jadalni i bawialni zarazem, dwa młodziutkie koźlęta, widziałem kilka zajęcy i królików, kicających do mamlenia świeżej delikatnej trawki, a na jęczmiennem siewniku spostrzegłem całą rodzinę bażantów, koguta wspaniałego, kurę i stadko maluśkich piskląt. Właśnie zapadło też kilka kaczek w jęczmień. Het daleko nad rzeczką, miarowemi uderzeniami skrzydeł szybowała czapla. Kilka grzywaczy i turkawek dążyło do swej nocnej kwatery, a olbrzymi myszołów krążył i krążył, widocznie dobrze obserwowany przez mądre myszy i żaby. Zaciekawił mnie i wyżła plusk wody obok w stawie. Wyszliśmy furtką z parku nad brzeg stawu szukając powodu tego plusku. Aha! Chuchro rybie leżało na wystającym z wody kamieniu. Był to świeży ksieniec karpi. Kamień zupełnie świeżo był obryzgany. Wyżeł z dziwną obojętnością badał sprawę. Dopiero znany świst z drugiego brzegu stawu przekonał mnie, co się stało. Nie była to wydra, lecz żółw, który właśnie teraz się poczołgał na suchą szczapę płynącą po wodzie. Tymczasem tam, gdzie źródło rowem wpływa do stawu, a strzelec przejście zastawił pułapką skrzynkową, tam, z tego miejsca dochodził mnie podejrzany jakiś szmer. Czyżby jednakowoż wydra? Gdym podchodził bliżej skrzynki coraz wyraźniejszy dał się słyszeć w niej rumor. Chciałem się schylić do krat, by się o rodzaju niewolnika przekonać, lecz w tejże chwili poczułem haniebny fetor, który mój nos skrzywił a u wyżła wywołał wściekłość, zapach ów tylko pochodzić mógł z tchórza. Wziąłem skrzynkę ze sobą i zaniosłem ją na łąkę. Tam otworzyłem drzwiczki i tchórza wypuściłem. Zaledwie dał pięć susów, a już go wyżeł capnął. Tchórz rzucał się w kufie wyżła jak mucha w ukropie lub wszy na grzebieniu—krótki tylko był trzask kości i zasmrodziwszy drogę swoją, ulotniła się jego dusza.

Zmrok zapadł. Beczały bekasy na niebie, strzykały derkacze w trawie, odzywały się kuropatwy i piały koguty bażancie, siadając na drzewa. Będąc już blisko dworu i zdaleka od stawu, jeszcze wciąż słyszałem trzciniaka śpiewającego:

Ryba, ryba—rak rak, rak,
Swędzi swędzi—drap, drap, drap,
Boli, boli—cierp, cierp, cierp!

Fr. Unrug.

W DZIKIEJ KNIEI

(Rozdział z nowelki).

Tęsknoty jakieś dziwne opanowały młodą niedźwiedzicę. Nudziły ją szare skały, ponura i wilgotna jaskinia, a nawet własna matka i bracia. Życie w tem rodzinnem gronie stało się dla niej ciężkie. Z urwistego zrębu patrzyła często w przepaść, gdzie potok pienił się na kaskadach, biegł hucznie w szalonym tańcu między głazami, coraz to niżej i niżej, aż ku zielonym gajom i wabił za sobą urokiem nowego nieznanego życia.

Któregoś ranka ryknęła i poszła w świat.

Długo się błąkała w nagich wąwozach i zielonych dolinach. Czasami radowały ją motylki siadające na kwiatach, a częściej trapiły tęsknoty do własnego barłogu i nieznanego przyjaciela. Wreszcie spotkała wielkiego burego niedźwiedzia z białą plamą pod gardłem. Powierzyła siebie jego opiece, a on ją zawiódł do cudnej dolinki, ponad brzeg górskiego strumienia, w którym tony szmaragdowe walczyły o lepsze z przeczystym lazurem. Za posłanie służyły jej mchy jedwabiste, a nad jej królewskim łożem roztaczał się olbrzymi baldachim z konarów starego dębu.

Ciszę w dolince przerywał tylko czasami krzyk orła lub beczenie dzikich kozic. Człowiek do tych zakątków nie zaglądał, tak przynajmniej twierdził jej mąż, bon vivant starego niedźwiedziego rodu i wytrawny turysta, który znał góry lepiej niż siłę swoich dwudziestu pazurów.

Lekkomyślny małżonek po krótkim pożyciu zostawił ją samą, czuł bowiem dziwną odrazę do pospolitej monotonji rodzinnego życia, w którym młoda żona zamiast wytwornego flirtu zanudzała go monotonnem mruczeniem o drobnostkowych kłopotach lub urojonych obawach, przytem jagody tutejsze zdały mu się zbyt kwaśne, miód posiadał dziwny obrzask jakiegoś niezbyt subtelnego kwiatu, a pstrągi były chude z powodu zbytniej ich obfitości w strumieniu. Poszedł więc sobie ku niżej położonym do-

linom, gdzie teraz był właśnie sezon na południowe owoce.

Ona zaś pozostała sama jedna stęskniona i pełna obaw, nie opuszczała doliny, przeżyła smutną zimę aż wreszcie doczekała się słonecznej wiosny i niezmiernej radości życia: trojga prześlicznych puszystych i tłuściutkich dzieciaków.

Co to były za miluchne stworzenia!

Z początku małe obżartuchy i śpiochy, po kilkunastu dniach stawały się coraz bardziej figlarne: to wspinały się na dwóch łapkach aby matce polizać nosek, co u niedźwiedzi oznacza pocałunek, to znów wdrapywały się po jej grzbiecie aby ją pociągnąć pieszczotliwie ostremi ząbkami za okrągłe kosmate ucho.

Potem zabawiały się między sobą boksem i walką zapaśniczą. Sporty powyższe, znane w niedźwiedzich rodach jeszcze przed potopem, traktowane były zawsze jako zabawa, w której niewolno było zapaśnikom czynić sobie wzajemnie jakich bądź uszkodzeń cielesnych, dopiero po zapożyczeniu tych rozrywek przez człowieka, a zwłaszcza przez anglo-amerykańskie wysoce kulturalne społeczeństwa, zostało między ludźmi uprawnione szlachetne wybijanie sobie zębów i łamanie żeber.

Podczas upałów matka prowadzała dziatwę do strumienia w celu zdrowej kąpieli i zabawy. Na razie zabiegi kąpielowe wydały się dzieciom ogromnie przykre, matka bowiem siedząc na okruchach skalnych brała w przednie łapy po kolei każdego z malców i zanurzała go parokrotnie wraz z noskiem w lodowato-zimną wodę. Ileż było wtedy strachu, pisku, kichania, a nieraz i bólu — gdy nieznośny wiercipięta klapsa od matczynej łapy oberwał!

Za to potem na kwiecistej łące uciecha ogromna w gonitwach, harcach i koziołkach, lub nad strumieniem, gdy z łapką zanurzoną w wodzie czatowało się na pluskające między głazami srebrzyste rybki.

Młode niedźwiadki lubiły często chodzić po nad lazurową wodą strumienia i patrzeć przez nią jak przez taflę najczystszego kryształu na żwirkowate dno, gdzie słońce zapalało jakieś cudne świetlane błyski, ponad którymi pływały spokojne ryby.

I to ich zgubiło.

Pewnego upalnego dnia matka znając pływackie zdolności swych dzieci, zostawiła ich bezpiecznie nad wodą i poszła do odległego starego gaju po plaster ulubionego ich miodu.

Naraz zjawiły się osobliwe istoty chodzące na dwóch nogach, podobniejsze do niedźwiedzi niż do kóz lub ptaków. Niedźwiadki z początku patrzyły na tych cudaków wyłącznie z mądrą ciekawością bez cienia strachu, lecz gdy dziwne cienkie istoty poczęły zdradzać chęć napadu, otaczać ich kołem, szykować jakieś pnącze i płachty — wtedy strach ogarnął młodzież.

Niedźwiadki rzuciły się w stronę zarośli, lecz je schwytano, oplątano w liny, zduszono, a potem już bezwładnym — skrępowano łapki. I nikt im nie pośpieszył na ratunek. Chociaż w okropnej trwodze wołały po swojemu: „matko! ratuj!“

Matka była wtedy daleko. Ludzie zaś cieszyli się ogromnie nie tylko z niedźwiadków, lecz przedewszystkiem z tych świetlanych błysków, jakie dojrzeli na dnie strumienia. Wyławiali piasek i wybierali z niego błyszczące okruchy skały, które są dla nich celem życia, zadowoleniem pychy i przyczyną nienawiści. Z uciechy wielkiej rozłożyli obóz, palili ognie, pili wódkę i głośno śpiewali.

Niedźwiedzica przybyła z plastrem miodu. Wystraszona krzykiem ludzi i dymem z ognisk szukała swych dzieci w gaju, wykrotach i zaroślach, myślała że błądzą, zwoływała je rykiem zniecierpliwienia i rozpaczy. Pędzona trwogą o ich życie — zaszła aż pomiędzy strome ściany wąwozu, gdzie od jej ryków bolesnych drżały wzruszone kamienne głazy.

Na drugi dzień niedźwiadki związane i wrzucone na arbę powiózł człowiek do nadmorskiego miasta gdzie je kupił obcy spekulant i wysłał w dalekie zachodnie kraje. I już na całe życie wolne dzieci bujnej natury zamknięto żelazną kratą w cuchnącej ciasnej klatce ku podziwowi cywilizowanego tłumu.

Parę tygodni błąkała się osierocona matka wśród gór, potem zeszła w doliny i tam spotkała swego małżonka. Stary niedźwiedź pocieszał ją jak umiał i zawiódł do ciepłych gąszczów leśnych w dolinie Rjonu, gdzie dojrzewały dzikie morele, granaty, soczyste owoce kizilu i tłuste oliwki, gdzie pnącze spowijały i łączyły drzewa zielonemi wstęgami, a pod niemi tamaryszki, bukszpany, paprocie i łopiany ogromne—okrywały swą gęstwą przed okiem ludzi wnętrze puszczy i wygodne legowisko zwierza. Tu niedźwiedzica przebyła lekką zimę i znów doczekała się dzieci. Tym razem było ich tylko dwoje. Rosły pięknie, lecz gdy kończyło się upalne lato, jedno z nich padło od zdradzieckiej kuli człowieka dozorującego zbieraczy owoców. Drugie ocaliła szczęśliwie zachęcając do zręcznej ucieczki wśród gąszczów. Jedynak odbył pod kierunkiem rodziców naukę w szkole przyrody i przez całą zimę już nie odstępował od kudłów matki, a gdy na wiosnę przybyło znów troje młodych niedźwiedziątek stał się czułym ich bratem i troskliwym opiekunem. Znosił im owoce, prowadzał do kąpieli, niesfornych karcił i czuwał nad bezpieczeństwem gromadki, zwłaszcza gdy matka na dalsze wycieczki ruszała.

W ciągu lata wyrosły dzielne małe niedźwiedziątka, umiały już same zdobyć pożywienie i wtedy skwapliwie wyłamywały się z pod opieki wychowawców, matka zaś rada z ich samodzielności prowadzała piastuna aż pod ludzkie siedziby na kukurydzowe pola, aby dać mu wyższe przeszkolenie przy zetknięciu z najgroźniejszym wrogiem.

Podczas jednej z takich wycieczek w puszczy rozegrał się dramat.

Jesień zajrzała już do kniei w dolinie Rionu. Między wiecznie zielone krzewy i drzewa zakradały się tysiące barwnych liści, niby bukiety najbajeczniejszych kwiatów. Dziki winograd pałał krwawemi plamami na białych pniach smokowców, których strzępiaste liście zwieszały się jakby złociste warkocze. Wszędzie między zielenią kapała czerwień i złoto.

Cichy jesienny spokój gościł wśród państwa roślin i zwierząt. Ptactwo trzepotało radośnie w gałęziach, dziki żerowały pod konarami orzechów, daniele skubały pnącze i trawy, młode niedźwiadki bawiły się w chowanago za grubymi pniami, a plamisty bars — kot ogromny, zadowolony z nocnych łowów wygrzewał się na słońcu zmrużywszy dziwnie łagodne niebieskie oczy.

Naraz człowiek z całą potęgą swych namiętności i z całym aparatem zdradzieckiej uczonej

przemocy wtargnął do puszczy. Ci, którzy dzierżyli władzę nad tutejszym ludem urządzali wielkie łowy na grubego zwierza. Zatrzęsły się knieje od wrzasku obławników, szczekania psów i huku wystrzałów. Cały dzień trwała niesłychana orgja. Przed wieczorem dopiero trąby oznajmiły zwycięstwo i zakończenie programu. Ładowano już tylko trupy zwierzęce na arby i łodzie.

Smutne szczątki z pełnych radości życia zwierząt, co nadawały puszczom urok ziemskiego raju, ochrzczone teraz zostaną nazwą „trofeów" i będą chlubą pogromców niby krzyże zasługi bojowej Ś-tego Jerzego!

Nazajutrz zamarła kneja. — Zwierz, który ocalał z pogromu chował się przerażony w jamy na niedostępne bagna lub uciekał w góry.

Niedźwiedzica z piastunem wróciwszy do puszczy nie znalazła już swego potomstwa, nie było również dzików, danieli, ani wielkiego kota poplamionego cieniami liści.

W powietrzu i na ziemi czuć było krew, proch i ludzki swęd.

Porozrywane pnącze, zdeptane krzewy, postrącane złote liście, a nadewszystko skopana racicami i pazurami ziemia i krew na niej zakrzepła — świadczyły o walce i scenach okrutnych.

Piastun drżał cały, szukał rodzeństwa i mruczał do matki, że w puszczy straszno mu teraz.

Matka wyczuła co się stało z jej dziećmi więc porzuciła zdradliwie piękną dolinę i poszła z piastunem hen ku północy aż po nad szumiące wody Inguru.

Jan Szczepkowski.

Park przyrody w Karpatach.

Od p. dr. W. Burzyńskiego, laureata konkursu myśliwskiego naszego pisma, otrzymujemy następujący list z załączonym artykułem:

Dochodzi nas wieść radosna, iż hr. Zamoyscy z Zakopanego, ofiarowali swe rewiry tatrzańskie Państwu.

Jeszcze w r. 1912 podnosiłem potrzebę założenia parków przyrody w dwóch miejscach zwału karpackiego — w Tatrach i w Beskidzie wschodnim.

Niniejsza wiadomość z Zakopanego, w uzupełnieniu z faktem z r. 1918, iż Państwo Polskie jest posiadaczem największych kompleksów karpackich na wschodzie, czynią, że sprawę należy wznowić jaknajrychlej! Dalsza zwłoka byłaby niczem nieusprawiedliwiona, skoro już nie w rękach prywatnych, ani pod zaborem najeźdźców, lecz w rękach Narodu znajdują się nasze góry.

Motywy wówczas, przemawiające za utworzeniem rezerwatów, wzrosły przecież do potęgi — jako następstwa światowej wojny!

Skoro więc nastała sposobność, przechodząca nasze najśmielsze konjuktury przedwojenne, by najpoważniejszą faunę Europy, naszego niedźwiedzia, rysia i jelenia karpackiego na wschodzie, zaś kozicę na zachodzie Karpat zabezpieczyć dla potomności w ich siedliskach naturalnych — to przystępujmy do dzieła!

Z powyższych przyczyn pozwalam sobie dołączyć tu swój artykuł z r. 1912, jako zawsze jeszcze aktualny, proponując wznowienie sprawy w Pańskiem najpoczytniejszym z pism przedmiotowych.

Zabezpieczony uchwałą Sejmu polskiego park przyrody z fauną karpacką będzie, zdaje mi się, najpiękniejszem ołtarzem dla św. Huberta, na który powinno było nas stać przedewszystkiem w epoce odbudowy, w epoce walki o ocalenie łowiectwa po Praojcach odziedziczonego!

Z prawdziwym poważaniem

Dr. Władysław Burzyński.

Z roku na rok, jakościowo gorsze rezultaty łowieckie z Karpat, a z tem w parze, zmniejszający się zagraniczny popyt na rykowiska naszych jeleni, pouczają, że górska fauna nasza, z której byliśmy dumni do niedawna na cały świat — marnieje.

Ręka ludzka psuje naturalną harmonję między florą i fauną, której rezultatem bywa doskonałość formy poszczególnych ich reprezentantów. Przywrócenie i następnie stałe zabezpieczenie w przyszłości choćby w małej cząstce Karpat tej harmonji, pokąd to jeszcze bez nadzwyczajnych wysiłków możliwe — oto nasze zadanie.

Czy to sprawa pilna?

Zważmy, jak w stosunkowo krótkim czasie utraciliśmy już z pośród naszej fauny i to według ludzkich rachub niepowrotnie, takie typowe gatunki ssaków, jak żubry, łosie, bobry — a inne są na drodze do zagłady! Weźmy pod uwagę, że coraz na grosz łapczywsza ręka dorobkiewiczów i tego pola się c hwyta.

Oto, nabywając na eksploatację drzewną olbrzymie majątki leśne w samem sercu Karpat, świetne do niedawna dziewiczością swą rewiry, pokrywa siecią parcel, z których każda ma służyć do jak najintensywniejszego odstrzału zwierzyny. Jakiż tego rezultat? Przy pomocy reklamy, krwawo zdobyte złoto, będą inkasować „nasi" przemysłowcy przez sezon lub dwa, a potem pierwotne knieje pójdą pod siekierę; w ich miejsce staną, pruskim porządkiem, w rzędy sadzone świerki, a parowe świstawki tartaków zgłuszą po stokach gór, ryk skarłowaciałych jeleni.

Ponieważ takie gospodarstwo i przemysł, z nieznaną dotąd w górach intensywnością, wnosząc dobrobyt nowoczesnej kultury, wcześniej czy później znajdą naśladowców u wszystkich właścicieli karpackich, więc dzieci naszych dzieci będą tylko z opisów po bibljotekach i ze zmurszałych preparatów po muzeach dowiadywać się, jak wyglądały pierwotne Karpaty.

Tedy musimy sobie powiedzieć, że już czas, że stoimy już wobec świętego obowiązku względem późniejszych pokoleń — wyłączenia szmatu ziemi karpackiej z tem, co ona dzisiaj jeszcze zawiera i stworzenia nietykalnego uroczyska, na wieczyste świadectwo naszej przepięknej przyrody.

Rozejrzyjmy się w Karpatach, gdzie możnaby o założeniu takiego świętego gaju pomyśleć.

Mamy dwa typy gór: na zachodzie Tatry tworzą ich koronę — to typ jeden, zupełnie samoistny, choć niewielki przestrzennie, imponujący swemi, w chmury sięgającemi, skalnemi iglicami o dzikiej piękności.

Nie o nim jednak mówić nam w pierwszej linji wypada, gdyż panujące tam, co do ochrony przyrody, stosunki są względnie znośne.

Posuwając się górami od Tatr na wschód, wchodzimy w drugi, właściwy typ karpacki, który, ciągnąc się setkami kilometrów, tworzy południową podstawę kraju.

Im dalej na wschód, góry te, o szerokiej nasadzie, a stosunkowo łagodnych stokach, coraz to potężnieją, coraz wspanialszy płaszcz flory leśnej je obejmuje i coraz dziksze, a śliczniejsze w kotlinach swych źródliska rzek kryją.

Z dziwną w przyrodzie symetrją, gniazdo Czarnohorskie jest najpiękniejszym w ich dyademie wschodnim klejnotem, tak, jak Tatry na zachodzie.

W tej to wschodniej stronie żyją najtęższe okazy fauny naszej, w warunkach najwięcej do pierwotnych zbliżonych; dlatego też w tej stronie wypadłoby — mojem zdaniem — ów rezerwat karpacki utworzyć.

Terytorjów bezpańskich, ani nieużytków na większą skalę, u nas niema.

Żadne z Karpackich latyfundjów prywatnych nie obejmuje w złączonym kompleksie przestrzeni takiej, by mogła charakter swój, zwłaszcza co do fauny, dość samodzielnie utrzymać, a to jest istotny warunek rezerwatu.

Jedne tylko dobra państwowe, w części swej, niedawno nabytej, mogłyby temu wymogowi odpowiedzieć. Bez żadnej też wątpliwości, po nikim, jako właścicielu, nie można się spodziewać w tej mierze zrozumienia, jakie stanowisko zająć mu wypada wobec niniejszej myśli, gdyby ona w konkretny projekt urosnąć miała, co po obecnym właścicielu dawnego dominium nadwórniańskiego t. j. Państwie, a to ze względu na jego kulturalne zadania. Kompleks ten wymagałby w każdym razie uzupełnienia.

Przechodzę do bliższych szczegółów projektu.

Dawny klucz nadwórniański obejmuje w swem terytorjum źródła i pierwsze zlewiska rzek, Bystrzycy Czarnej i Prutu, a stanowi, z pewnemi lukami w środku całą południową, czyli górską część powiatu nadwórniańskiego. Liczne i potężne grzbiety gór, pokryte nieprzerwanemi lasami pierwotnego pochodzenia, w zlewisku Bystrzycy grupują się koło najwyższego szczytu „Doboszanka“ (1757 m. p. p. m), zaś w zlewisku Prutu, koło grzbietu Gorganów i stoków gniazda Czarnohory ze szczytem Spyci (1866 m. p. p. m.).

Tylko najwyższe, szczytowe grzbiety, pozbawione wegetacji, sterczą ku niebu skalnymi odłamami, zresztą całe te okiem niezmierzone przestrzenie pokrywa najbujniejsza pierwotna wegetacja karpacka.

Zupełnie młoda gospodarka odnawiania zrębów drogą sztucznej kultury, ogólnego charakteru pierwotnej kniei wcale jeszcze tutaj nie starła. Knieja ta, jako typowa wysoko karpacka, szpilkowa (świerk przewadze nad jodłą) tylko w niższych swych ekspozycjach jest mieszana lub nawet przeważnie bukowa z przymieszką innych gatunków, drzew właściwych Karpatom.

Żywi ona, jako naturalną swą faunę w najtęższych okazach, jelenie, sarny, dziki, głuszce, cietrzewie, jarząbki, dalej niedźwiedzie, rysie, wilki, żbiki, wydry, kuny etc., orły, sępy, orliki, puhacze i t. d., cały drobny świat zwierzęcy, typowy dla Karpat; strumienie zaludnia najszlachetniejsza ryba: pstrąg, lipień i inna szlachetniejsza.

Kompleks ten obejmuje dzisiejsze okręgi skarbowe, dawne państwo Nadwórniańskie:

a) nad Bystrzycą: Nadwórna (część), Pasieczna (część), Zielona i Rafajłowa;

b) nad Prutem: Tatarów, Jabłonica i Worochta; dalej:

c) okręgi nad Prutem, któreby dla zaokrąglenia należało wcielić, t. j. Delatyn (część), Dora i Mikuliczyn;

d) objęte tą przestrzenią, jako enklawy, polowania gminne.

W kwestji rozwoju tego parku przyrody, należałoby przedewszystkiem rozróżnić dwie fazy, dotyczące flory i fauny.

Wzgląd na utrzymanie i tylko naturalny rozwój flory mógłby mieć miejsce wogóle i jedynie na terytorjum, obecnie przez Skarb administrowanem; przestrzenie te stanowią $^4/_5$ całości. Rozumie się jednak, że zadania, a tem samem i sposób gospodarki w takim rezerwacie, a w dobrach, jakkolwiek najściślej konserwatywnie, jednak z wyłącznym celem dochodu z lasów administrowanych — są tak różne, że się absolutnie pogodzić nie dadzą, a wszelkie kompromisy, nie doprowadzając do realnych efektów, śmiertelnieby tylko rzecz całą spaczyły. Dlatego, kwestja prowadzenia flory w rezerwacie, musiałaby spoczywać aż do czasu objęcia małopolskich domen przez krajową administrację, o czem zapewne miarodajne czynniki pamiętają. Za dalekoby mię zawiodło poruszanie tutaj sposobów gospodarki, dającej się zastosować w takim rezerwacie: byłby to temat na szereg artykułów. Podniosę tu tylko, że dochody jego leżą przedewszystkiem w udaniu się sprawy, t. j. by był atrakcją dla wszystkich, dalej, w racjonalnem spieniężaniu tego wszystkiego, czego można bez żadnego uszczerbku dla zadań parku pozbywać się.

Czas przejściowy, należałoby użyć na nauczenie się przez badanie na miejscu, jak tego rodzaju parki są gdzieindziej prowadzone.

Obecnie zadanie nasze dotyczyłoby tedy ubezpieczenia fauny.

W tym kierunku sprawa jest pilna, nietylko z powodów na początku wymienionych, ale ponieważ, nie czyniąc w najbliższym czasie właściwych kroków, stracilibyśmy pierwszorzędną sposobność postawienia fundamentu całej instytucji.

Dr. Wł. Burzyński.

Pies - włóczęga.

(*Dokończenie*)

Ani policja, ani władze wojskowe lub gminne, nie troszczą się o ten stan rzeczy faktycznie i praktycznie, bo choć anegdotycznie dużo wiedzą i rozprawiają o broni na wsi, — lecz bardzo, bardzo rzadko gdzieś, kiedyś usłyszeć można o odebraniu jakiejś sztuki broni nieprawnemu jej posiadaczowi— ale proszę w podwieczór pełni, lub później do godz. 10-ej, wyjść za folwark w stronę lasu, — a natychmiast da się słyszeć gęsta kanonada, a do tego bardzo głośna, bo pochodząca przeważnie z karabinów wojskowych.

Mówię: „gęsta kanonada", — bo przecież *22 strzały*, dane w nocy: „na wychodnego", w ciągu *jednej godziny, pod jedną ścianą lasu* — do rzadkich zaliczać nie można, a choć są one w 80% „wiwatowe", w każdym razie straszą i niepokoją zwierzynę, onieśmielając służbę leśną do agresywnego wystąpienia przeciw tym kłusownikom: „...którzy strzelają z karabinów i utrzymują, że „obszarnik" nie zbankrutuje, jak mu tam ustrzeli się jakiego zajęczaka".

Słowem — kłusownicy w zastraszający sposób niszczą zwierzynę, stając się groźną i niezwalczaną plagą jej ochrony.

Drugą, równoznaczną plagą w tymże kierunku, jest ta nadmierna mnogość psów, trzymanych dziś przez mieszkańców wsi, kolonji, osad i małych miasteczek.

W czasach przedwojennych, nie spotykało się na wsi i połowę tej ilości psów, jakie dzisiaj się kręcą w każdem obejściu gospodarskiem, bo bądź co bądź, pewne przepisy prawne, a nawet i lokalne ograniczały ową ilość, a najważniejsze — dozwalały je tępić tam, gdzie nie miały prawa debiutu.

Dziś, jedni gospodarze trzymają po kilka psów w podwórzu jako pewne pogotowie i ochronę przed bandyckimi napadami, — inni, zamożniejsi, trzymają ich również po kilka, bo „stać nas na to i jakoś raźniej, jak psy naszczekują koło chałupy". Tu i owdzie znajdzie się ułożony pokurcz-wyżeł, lub takiż gończak, z którym ów małorolny, a przeważnie „bezrolny", dzień w dzień poluje—w końcu znajdują się i tacy „kmiotkowie", którzy ogarnięci żyłką spekulacyjną, handlują szczeniętami, po kolosalnie wysokich cenach, dość, że jest obecnie na wsi „przepsienie", którego regulację mogłyby przeprowadzić jedynie bardzo surowe przepisy prawne.

Zabić dziś takiego włóczącego się psa po polu lub po drodze wobec osób trzecich, właścicieli, lub świadków,—rzecz arcy niebezpieczna, bo można się narazić na przykre zatargi miejscowe, demagogicznie wciąż podniecane przez „opiekunów ludu" wogóle, a jak u nas przez, „opiekunów mniejszości narodowych", — którzy nawet w kiwnięciu psim ogonem widzą, „zamach obszarników na prawa demokracji.

W tych warunkach życia, polityka tężeje, ale ilość zwierzyny polskiej... topnieje.

Im dalszą przejeżdżałem przestrzeń i więcej naliczyłem różnych „piesków", tembardziej się irytowałem, podniecałem, a stara żyłka tępienia szkodników brała we mnie górę, aż nie wytrzymałem i nie zwracając uwagi na pracujących w polu, postanowiłem upolować choć jednego: „skowyrka", ująłem więc browning do ręki i czekałem sposobności.

Nie czekałem długo.

Z obślizgłego traktu i błotnistych grobelek wydostałem się na równą i suchą wyżynę gościńca, biegnącą parę kilometrów do wjazdu na świeżo-usypaną szosę, która znów parę kilometrów prowadziła mnie do celu mej podróży. Konie zadowolone z wygodnego terenu szły tęgim kłusem. Z lewej strony drogi, dwa „skowyrki" Nr. 29 i 30, jeden za drugim, widocznie „nieodłączni towarzysze wypraw", wietrząc po wilgotnych skibach roli, biegły równolegle do mojego ekwipażu o jakie 20 do 30 kroków. Szybko, z rzutu strzeliłem raz i drugi. Konie nie przyzwyczajone do strzału skoczyły naprzód — psy cofnęły się, czy zawróciły na miejscu, przyczem jeden z nich żałośnie zaskowyczał, — a furman powstrzymawszy konie, obejrzał się za siebie i z uśmiechem zadowolenia meldował „...ino jedna psia jucha bez pole goni, drugiego ani widu". Widocznie „skowyrek" został trafiony, bo po strzale usłyszałem ów specjalny „szczek", czy „jęk", tak charakterystyczny, przy śmiertelnym zranieniu psa.

Reasumując jednak moje powyższe opowiadanie, refleksje i uwagi, radbym z nich — na wzór „sensu moralnego", wypływającego z opowieści ciekawych bajek, — wyciągnąć pewne konkretne korzyści, — dlatego też pozwolę sobie na chwilę niepokoić uwagę Szanownych Czytelników mojemi koncepcjami i projektami w dziedzinie ustawowo-prawnych przepisów o ochronie zwierzyny łowczej—koncepcjami, opartemi na spostrzeżeniach, faktach i rezultatach życia codziennego, na pewnych i praktycznych motywach.

Tych kilka punktów podaję w ogólnych zarysach, gdyż wynikające z nich szczegóły należy drobiazgowo opracować; — mnie w danym razie, chodzi jedynie o najważniejsze przepisy dla nas, mieszkańców wsi, o zasadnicze, praktyczne i rzeczywiste przepisy prawne, poparte energicznym rygorem kar, grzywien i egzykucji.

1-o. W każdym powiecie, (starostwie) obowiązkowo zakładać Okręg. Tow. Myśliwskie, które podlegają ogólno-krajowemu Centr. Tow. Myśliwskiemu Rzplitej Polskiej.

2-o. W każdym powiecie, przestrzeń gruntu do 100 ha poszczególnego właściciela, winna być wydzierżawioną miejscowemu Okr. Tow. Myśl. — Właściciele posiadłości wyżej 100 ha, wolni są od obowiązku wydzierżawienia swych terenów — ale mu-

szą do tegoż Okr. T. M. należeć i poddać się bezwzględnie jego ustawowym przepisom.

3-o. Po gminach można zakładać „Kółka Myśliwskie", ale podlegają one Okr. T. M.

4-o Okręg. Tow. Myśliwskie prowadzi regestrację, statystykę i kontrolę całego powiatu. Ono jedynie (przy pomocy „Kółek Myśl.") ma prawo kwalifikować kandydatów na prawo trzymania broni myśliwskiej i na prawo polowania i jedynie na zasadzie tych kwalifikacyj prawnych (nie politycznych), starostwo może wydawać pozwolenia.

5-o Na 3 do 4 gminy w powiecie, winien być naznaczony jeden *„przysięgły dozorca"* kontrolujący tereny myśliwskie, oraz pozwolenia na broń, mający prawo podawać winnego do sądu, który na jego jednostronne zeznanie, referuje wyrok.

6-o Trzymanie broni bez pozwolenia i kłusownictwo (brakonjerstwo) winny być karane tylko *konfiskatą broni i pozbawieniem wolności osobistej*, od 1 do 12 miesięcy, zależnie od stopnia przestępstwa, a specjalnie, gdy ono się często powtarzało.

7-o Mieszkańcom wsi, kolonji, osad i miasteczek nie wolno trzymać więcej nad jednego psa podwórzowego na przestrzeni gospodarstwa do 25 ha, ewentualnie na jeden lokal, za pewną roczną opłatą, np. równającą się wartości dwóch korcy pszenicy, w terminach 1 stycznia i 1 lipca danego roku. Na przestrzeni od 25 do 100 ha wolno trzymać dwa psy, do 300 ha — trzy psy, do 500 ha — cztery psy—powyżej 500 hu maksimum pięć psów. Każdy pies podwórzowy na dzień powinien być wiązany na łańcuchu, lub nosić przepisane kłody i namordniki, a winien mieć na widocznem miejscu umieszczony znaczek z opłaconego podatku. Psu takiemu nie wolno oddalać się od mieszkania właściciela i od swej budy poza 50 metrów.

Na każdego psa podwórzowego, trzymanego ponad normę, właściciel obowiązany płacić podatek za pierwszego — w wysokości trzykrotnej, za drugiego — pięciokrotnej, za trzeciego — ośmiokrotnej wysokości podatku zasadniczego — przyczem każdego dalszego psa konfiskuje się bezwzględnie, sprzedając na rzecz miejscowego Kółka Myśliwskiego, a uprzedni właściciel psa płaci jednorazową karę pieniężną równą np. dziesięciokrotnemu, rocznemu podatkowi zasadniczemu.

8-o Co do psów „pokojowych", to ilość ich zupełnie się nie ogranicza, a tylko ustanowić się winno od nich podatek stopniowy t. j. o ile od jednego psa, roczny zasadniczy podatek wynosi powiedzmy X (np. wartość 4-ch korcy żyta), to od drugiego ma wynosić 2X, od trzeciego 3X i t. d. aż do skutku. Psy pokojowe winny nosić na sobie znaczki z opłaty podatku, chodzić tylko za swym właścicielem lub domownikami i nie oddalać się od swego mieszkania po za 50 metrów. O ile ktoś prowadzi „zarodową" hodowlę psów rasowych pokojowych lub „specjalnych", pożądanemby było, zaprowadzenie ksiąg rodowych i traktowanie tej gałęzi, jako specjalny przyczynek hodowlany.

9-o Co do psów myśliwskich, to na ich trzymanie, na oznaczenie ich ras i gatunków, wydaje kwalifikacje, zaświadczenia i pozwolenia Okr. Tow. Myśliwskie, przyczem określa ono ilość tych psów mogących być trzymanemi w powiecie, oraz oznacza corocznie wysokość opłacanego od nich podatku. Psy te winny posiadać swe specjalne książeczki legitymacyjne, które dla sztuk wysoko-rasowych, zarodowych spełniać będą rolę świadectwa lub wyciągu z ksiąg rodowych, specjalnie w Centr. T. M. R. P. prowadzonych. Psy myśliwskie nie powinny wydalać się po za swe mieszkanie dalej jak 50 metrów, nie wolno też z nimi ani rozjeżdżać ekwipażami ani spacerować po lasach i drogach, powinny one być używane jedynie do polowania w swojej specjalności.

Tu się nadmienia, że psów gończych, specjalnych „dziczarzy", oraz chartów, zabrania się trzymać kategorycznie tam, gdzie poszczególny teren myśliwski ma mniej niż 5000 ha lasów do polowań z gończymi, tyleż pola samego do polowań z chartami, no i minimum 10.000 przestrzeni, do polowania parforce.

10-o Nie tylko każdy bezdomny pies, włóczący się po polach, lasach i drogach winien być bezwzględnie tępiony i strzelany, ale także każdy pies podwórzowy, pokojowy czy myśliwski, opłacający swój podatek roczny, z kłodą, namordnikiem lub książeczką legitymacyjną, którego się spotka na drodze, w polu lub lesie, oddalonego o 100 metrów od lokalu i podwórka (obejścia) jego właściciela. Żadne reklamacje ani pretensje w tym względzie racji mieć nie będą, o ile tylko dowiedzionem zostanie, że psa zabito po za obrębem 100 metrów od domu. Gdyby dany wałęsający się pies nie dał się podejść i unikał spotkania z tępicielem, właściciel psa winien sądownie za niego odpowiadać, płacąc zań grzywny: 1-szy raz dziesięciokrotną ilość opłacanego za niego podatku rocznego; 2-gi raz — dwudziestokrotną ilość, 3-ci raz konfiskuje się psa tego i bezwzględnie — zabija.

Oto kilka pobieżnie, ogólnikowo skreślonych punktów, które może dałyby się wkręcić, w ową opracowaną ustawę łowiecką. Są one być może silnie radykalne, ale bo też to co się u nas dzieje w dziedzinie tępienia i niszczenia zwierzyny, przechodzi wszelkie pojęcia i te właśnie okoliczności i codzienne styczności, uspasabiają tak bezwzględnie i radykalnie w kierunku ratowania naszej zwierzyny. Jeszcze trzy lata takiej jak dziś gospodarki myśliwskiej, a na przestrzeni 246.680 morgów starostwa hrubieszowskiego (m. 87.728 większej własności), przy wielkich staraniach w ciągu roku może się znajdzie 50 zajęcy do zabicia, tyleż lisów, kilka dzików, ani jednej sarny, ani jednej kuropatwy, ale psów ze 300.

Jan Stefan Wydżga.

Wiatr i wietrznik.

Natura, pozwalając z jednej strony swym wielbicielom czytać w sobie jak w otwartej księdze, objawia się z drugiej strony w formie trudno, lub nawet wcale nie dających się rozwiązać zagadek. O wytłómaczenie jednego takiego objawu, rzucającego mi się niejednokrotnie w oczy przy jakimkolwiek polowaniu w suchem polu z wyżłem na deptaka, postanowiłem zapytać czytelników „Przeglądu Myśliwskiego i Łowiectwa Polskiego".

Sprawa zdaje mi się być dotąd zupełnie nie zbadaną, wobec tego, że indagowanie przeze mnie kilku czołowych osobistości w naszem piśmiennictwie łowieckiem, niestety pozostało bez rezultatu. W mniemaniu owem utwierdziło mnie m. in. także to, że analogiczne zapytanie stawiano w jednem z pism niemieckich („Wild und Hund", nr 17, z dnia 25.IV.24, str. 272).

Rozchodzi się o ustrój organów węchowych u wyżła z jednej strony — a o sposób wydzielania zapachów przez zwierzynę—z drugiej strony.

Dla łatwiejszego zrozumienia zagadkowej działalności wyżła, ilustruję całą rzecz na kilku przykładach.—Zdarzało mi się wielokrotnie, że aportujący kurę wyżeł, wystawiał nagle, dajmy na to, kota lub królika, lub naodwrót. Wysubtelniony ruch towarzysza polowań nieraz mamy sposobność zaobserwowania, gdy np. kilka godzin po fakcie, przyprowadzamy tropowca na miejsce niefortunnego strzału. Jakież atomy wiatru w zupełności psu wystarczają do wypracowania postrzelonej zwierzyny. I ten sam pies jest w stanie, trzymając w kufie zwierza samego, i, według wszelkiego prawdopodobieństwa, wchłaniając tegoż skoncentrowany zapach, reagować na wiatr innej zwierzyny.

Powyższy przypadek dałby się jeszcze wytłómaczyć różnicą poszczególnych zapachów, no, i— last not least—szalonem wydelikaceniem psiego powonienia.

Ale pójdźmy dalej. — Komuż nie zdarzył się przypadek następujący: myśliwemu lub raczej wyżłowi udaje się rozbić łańcuch kur-farbówek. Czy to nie codzienne, i dla wielu myśliwych naturalne, że wyżeł aportując zastrzelone kury, równocześnie nieraz wystawia dalsze, żyjące? Tu w przeciwstawieniu do poprzedniego przykładu, nie zachodzi różnorodność poszczególnych wiatrów, gdyż trudno sobie wyobrazić, aby pies zdolen był pojąć, zapewne minimalnie różniące się pomiędzy sobą, specyficzne zapachy członków jednego kuropatwiego stadka.

Czyżby z chwilą nastąpienia śmierci momentalnie miało ustać wydzielanie zapachu? Zdaje się to być niemożliwem, a zresztą pies apportuje nieraz kurę trzepoczącą się jeszcze w kufie i równocześnie wystawia. A jednak z chwilą przeniesienia się lepszej cząstki kurzego jestestwa — gdzieś na Wielką Niedźwiedzicę, musi nastąpić przynajmniej momentalna fizjologiczna zmiana zapachu, gdyż wiatr tylu, u pasa myśliwego wiszących ptaków, musiałby psu uniemożliwić kompletnie dalsze parowanie. Że ptaki zdają się wydzielać zapach specjalnie spodnią stroną korpusu, zdaje się być pewnem.

Dowodzi tego z jednej strony zwyczaj ptaków, gnieżdżących się bezpośrednio na ziemi, sfruwanie wprost na gniazdo, zapewne w celu niepozostawiania poszlaku, do tegoż prowadzącego, i z drugiej strony fakt, iż jednak tyle i tyle przyziemnych gniazd zdoła się uchronić przed niepożądanemi odwiedzinami drapieżników.

Zdarzyło mi się np., iż postępując błotnistym szlakiem lisa, z miejsca, położonego zaledwie mały krok w bok, wyrwał się skowronek. Mając we krwi zwracanie uwagi na obyczaje ptaków, zbadałem owo miejsce, i znalazłem gniazdo z nagiemi pisklętami. Fakt, iż grzbiet ptaków stosunkowo mniejszym odznacza się zapachem od strony brzusznej, dałby się może m. in. wytłómaczyć zwartym układem sukni na tejże stronie ciała, wykazującej wskutek tego większą nieprzepuszczalność. Wyżeł, szukający dolnym wiatrem, udowadnia nam, że niezaprzeczenie kurze zgrzebła pozostawiają wiele odczynnika, strącającego się w psim nosie. A czyż właśnie tychże ciek pies apportując nie ma tuż przy wietrzniku, co mu bynajmniej nie przeszkadza pojąć wiatr przysiadującej reszty kur?

Chcąc wszechstronnie zbadać niezrozumiałe mi objawy, kryłem się nieraz, strzeliwszy w kniei do lisa lub królika, i konstatowałem, że wyżeł, apportując w galopie, górnym wiatrem (gdyż inaczej nie było mu możliwem), z największą precyzją brał mój trop i nieomylnie mnie odnajdywał.

O tych i tym podobnych epizodach, jeśli nie milczy Kronika łowiecka, to bądź co bądź, tak szczupłe podaje nam w tej dziedzinie wiadomości, iż tak codzienny, proszący się poprostu o zajęcie się nim węzeł gordyjski, pozostaje nierozwiązanym. Zdawałoby się, iż dla łowca na polowaniu nie egzystuje nic, poza maksymą: „mors tua, vita mea.. ". Lub też może fascynujący widok, błyskawicznym ruchem w pół zwrocie kamieniejącego wyżła, owa tak wymowna „chanson sans parole" zbyt potężny wygrywa atut na czystej duszy myśliwego, aby w niej miało pozostać miejsce na naukowe debaty o fizjologicznych procesach, dokonywujących się wewnątrz wietrznika wiernego sługi.

Zdaję sobie doskonale sprawę z tego, iż ogółowi myśliwych nie powiedziałem nic nowego. Cieszyło by mnie, gdyby powyższe notatki stały się podnietą na tym tle do dalszych spostrzeżeń, któreby może na łamach „Przeglądu Myśliwskiego" przyczyniły się do zdefinjowania zagadkowego problemu.

Wiesław Szczerbiec-Szczerbiński.

JELEŃ KARPACKI

a uchwała Oddziału Poznańskiego Polskiego Związku Myśliwych co do zamknięcia polowania na jelenie w lasach karpackich na przeciąg dziesięciu lat.

(*Dalszy ciąg*)

Na południowym stoku Karpat od Węgier, gdzie wcześniej zaczęto prowadzić gospodarkę leśną, gdzie mniejsze śniegi zimą spadają i prędzej tają — już wówczas było dosyć jeleni, które na czas rykowiska przechodziły na stronę Karpat galicyjskich, aby na zimę wrócić do Węgier. Coś podobnego do dziś dnia dzieje się w Wetlinie, gdzie lasy są jeszcze nietknięte.

Taki stan trwał do roku 1881.

W roku 1881 rozpoczęła się w rewirach Mizuńskich pierwsza eksploatacja drzewna, a że lasy były od stworzenia świata nietknięte, więc w pierwszem 10-cio leciu dla przeprowadzenia lasu mniej więcej do normalnego stanu, przynajmniej w przybliżeniu, musiano założyć wielką ilość zrębów tak, że do cięcia przypadło rocznie nieraz 20, 30 a może i więcej oddziałów leśnych obejmujących po 20 do 100 ha powierzchni. Wskutek tego powstało w pierwszem dziesięcioleciu dużo zrębów, które do r. 1914 zawsze obejmowały po kilka a nawet kilkanaście oddziałów.

I cóż się staje, po roku 1881? W latach 1885-ych poczynają jelenie napływać z Węgier, (trochę było krajowych). Mając podatny grunt na żerowisko, na zrębach poczynają się rozmnażać dość zncznie, tak, że w ciągu dziesięciu lat t.j. około 1895r. już wszędzie są rykowiska. Naturalnie nikomu nie wolno polować.

Trzeba wiedzieć, że gleba Karpacka w szczególności w lasach dziewiczych, od wieków zacieniona drzewostanem po odsłonięciu i wystawieniu na operację słońca, przystęp powietrza i bezpośrednie działanie wpływów atmosferycznych, pokrywa się taką obfitością różnych traw, chwastów i roślin karpackich, a szczególnie malin i ożyn, że zwykle w trzecim roku niepodobna się przez nie przedrzeć. Jest to raj dla jeleni a największą ich rozkosz stanowią ożyny, które w lecie czy w zimie zawsze zielone są głównem pożywieniem jeleni.

Właśnie ta ogromna ilość zrębów, pokrytych bujną roślinnością pastewną podziałała nader dodatnio na rozwój i rozpłód jelenia.

Już po dziesięciu latach od czasu rozpoczęcia manipulacji leśnej rozmnożyła się taka ilość jeleni że poczęło im być za ciasno w rewirach mizuńskich i poczęły wywędrowywać pojedyncze parki na zachód i północ, tak, że spotykamy je w rewirach Bolchorskich, Lisowskich i dalej ku Stryjowi lub Dolinie, w stronę Kałusza i t. d.

W roku 1895 dochodzi wiadomość do austrjackiego Ministerstwa rolnictwa we Wiedniu, a stamtąd do „Kamaryli“ dworskiej,—arcyksiąże Leopold Salwator w to .arzystwie Generała Barona Giesta udaje się na wywiady myśliwskie. Po tygodniu niepomyślnego polowania w rewirze Mizuń-Nowy. Arcyksiąże przyjeżdza do mnie wówczas do rewirów w Sołotwinie mizuńskiej i strzela jednego z najpiękniejszych dwunastaków, jakie w przeciągu 23 lat polowania ubił. Rogi były niesłychanej długości *1 35 m.* od róż do końca korony, rozpięcie 1 34 m. gałęzie oczne 56 cm. długości, róże 30 cm. obwodu, waga przeszło 12 klg.

Od roku 1896, jeleni jest coraz więcej pomimo, że każdy gość mógł strzelać tyle sztuk ile mu się udało zabić, tak że w sezonie rykowiska padało regularnie 18, 20, 25, a nawet w 1904 r. 27 jeleni naturalnie samych kapitalnych.

W tym czasie okazał się nadmiar łań, bo jak na wstępie wspominałem koło byka bywało w czasie rykowiska po 12, 18 a nawet 25 łań, a takiej liczbie łań, niejeden ale i dwa jelenie nie były w stanie podołać, więc spotykało się dużo jeleni zdegenerowanych „hermafrodytów“ — t.j. jeleń bez rogów o bardzo nikle rozwiniętych genitaliach, a ryczał taki jeleń podobnie jak cielę od krowy domowej beczy i to późno w jesieni nawet do grudnia.

Więc zaczęto regulować ten nienormalny stosunek przez odstrzał łań. W jednym roku przeznaczono 40 sztuk, w następnych po 20, której to cyfry nigdy nie osiągnięto — bo to nie tak łatwe zadanie po rykowisku w Karpatach i do tego w zimie, gdzie śniegi dochodzą 2, 3 i więcej m. głębokości polować na jelenie. Z łaniami prędzej można się spotkać, ale z jeleniem spotkać się po rykowisku, należy do rzadkości, gdyż jest bardzo ostrożny i płochliwy bojąc się własnego cienia. Jeleni było więc ciągle dużo, jakkolwiek liczba tych najkapitalniejszych zaczęła się zmniejszać. W czasie bowiem rykowiska, ze szkodą dla zwierzostanu wybiera się co najładniejsze jelenie do odstrzału — bo każdy myśliwy o niczem innem nie marzy, tylko o rogach *bardzo grubych, ładnych, rozłożystych, a końców musi być conajmniej 20, jeśli nie więcej.* Dla gospodarstwa łowczego wielka to szkoda gdy się wybija *najkapitalniejszą rasę rozpłodową!*

Ale jak we wszystkiem tak i w gospodarstwie łowczym od czasu do czasu matka-przyroda sama reguluje stan i stosunek przybytku i ubytku istot żywych i nie dopuszcza do zalania świata i nadmiernego przepełnienia chociażby i ludzi. Bo i na ludzi spada wojna, różne epidemje jak cholera, dżuma, różne hiszpanki, głód i t. d. niedopuszczając do przeludnienia. Powiada niemieckie przysłowie „der Herrgot hat die Bäume nich in den Himmel wachsen lassen“ — bo ludzie drapali by się aż do nieba.

Tak też i na zwierzostan, od czasu do czasu. spadnie jakaś katastrofa przez „vis major“ dana i zmiecie z horyzontu porządną ilość, aby na nowo zaczynać, płodzić się i odbudowywać tak jak po teraźniejszej światowej wojnie.

Właśnie taką małą wojnę światową, ale tylko lokalną mieliśmy zimą w roku 1907 na 1908 — gdy śniegi w Karpatach zaczęły padać od 15 grudnia a skończyły 15 maja. Miejscami dochodziły do niesłychanej wysokości od 2 — 5 i 6 m., a odwilży przez całą zimę nie było ani razu.

Cóż więc biedny jeleń miał robić, czem żyć, jak się dokopać do swej ulubionej paszy, do ożyn, lub młodych pędów malin? — jedynym pokarmem dla okazów, które nie chciały opuścić swych ulubionych Karpat, pozostały szpilki świerkowe, jodłowe i kora z młodych świerków oraz jodełek. Ten pokarm jednak nie wystarczał im z powodu braku odżywczych składników, a przeciwnie szkodził i przyprawiał o śmierć, bowiem wraz z korą i szpilkami zjadały dużo żywicy smolnej, która zbijała się w ciężką grudę w żołądku. Żołądek nie mógł strawić i bywał zatkany, kiszki próżne, cielsko wyschło i biedaki ginęły z głodu z nabitym jak kamień żołądkiem i jelitami. Wówczas młodzież, słabsze jelenie i łanie ginęły tysiącami.

Jelenie, nawet silne, dawały się na drodze łapać, ale chyba poto, aby przyprowadzone do stajni, przy najlepszem sianie lub koniczu ginąć marnie nie były bowiem w stanie jeść.

Celem przewidzenia żywiołowych wydarzeń człowiek posługuje się różnemi barometrami, termometrami sejsmografami, zwierzęta zaś przeczuwają instynktem zbliżające się katastrofy, ciężkie zimy, mrozy, wiatry, słoty, burze. Silniejsze jelenie przeczuły tę straszną zimę i wywędrowały ku nizinom, gdzie cieplej i mniej śniegu. Tym sposobem dużo jeleni ocalało — a przeważna ich część zasmakowawszy nizinnych traw i paszy w góry nie powróciła i pozostała już na zawsze w dolinach. Ten objaw nietylko sam zaobserwowałem u nas w Karpatach polskich, lecz wielu starych myśliwych węgierskich obserwowało to samo przy ciężkich zimach w Karpatach węgierskich.

Następnej jesieni t. j. po tej katastrofalnej zimie i rykowiska wypadły źle. Zdawało się, że w Karpatach już niema jeleni.

Arcyksiąże Leopold Salvator przybył tej jesieni już 18 września z sześcioma towarzyszami i przez pierwszy cały tydzień nie usłyszał nigdzie ani jednego głosu jeleniego. W drugim tygodniu gdzieniegdzie burknął jakiś przybysz wystraszony okropną zimą. Niepodobna było jednak podejść go, ani zobaczyć.

Prawie 3 tygodnie chodziliśmy po dawnych najpiękniejszych i najbogatszych w jelenie terenach, ale nietylko że nic nie widzieliśmy, lecz nic nie słyszeliśmy nawet. Inni panowie również nic nie widzieli z wyjątkiem nadwornego lekarza sztabowego, który miał to szczęście, że zobaczył 2 jelenie, a nawet jednego zabił, ale niestety jeleń ów rogi miał nikłe (dziesiątak). Myśliwy więc mocno żałował, że strzelał do niego.

Tak więc po tej katastrofalnej zimie zdawało się, że jeleni już w Karpatach nie będzie. Następnego roku t. j. w 1909 podczas rykowiska zaczęły się jelenie pokazywać i to same silne o kapitalnych wieńcach. Rezultat był dobry, padło wówczas 17 jeleni. Przyroda chciała przytem nagrodzić poprzednie rykowisko, obdarzając jelenie, a tem samem i myśliwych, samemi silnemi wieńcami. Z pośród 17 jeleni największe wieńce miały 14 końców, były masywne, grube i długie. Przypisać to należy głównie łagodnej zimie i wczesnej wiośnie, które ogromny wpływ wywierają na formację wieńców przez dobre i obfite pożywienie. (D. c. n.)

Jan Marcinków.

Ochrona Przyrody.

II.

Chociaż niewątpliwie można wykazać, że pierwsze hasła ochrony przyrody padły na kontynencie europejskim, to jednak jeżeli chodzi o zrealizowanie tych haseł, na pierwszym miejscu musimy postawić Stany Zjednoczone Ameryki Północnej. Jeszcze w 1832 roku zostały uznane za państwowe i nietykalne gorące źródła w Arkanzas; na wielką jednak skalę aktem prawnym kongresu w Waszyngtonie został założony w 1872 roku słynny „Park narodowy Żółtych Skał" Yellowstone National Park—zwany również „zaczarowanym krajem świata". Szereg najrozmaitszych krajobrazów górskich z głębokiemi dolinami, gejzerami, jeziorami, obejmuje przestrzeń 3348 klm.; wśród odwiecznych lasów szpilkowych znajdują tutaj schronienie niedźwiedzie, tysiące jeleni, „wapiti", niezliczona ilość sarn i danieli, oraz setki bizonów. Yellowstone-Park zaczarowany „w absolutnie niezmienionej formie zarówno dla samego użytku, jak i dla przyszłych pokoleń", dogląda specjalnie eskadron jazdy, aby nie dopuścić do wykroczenia przeciw surowym przepisom, mającym na celu utrzymanie parku w pierwotnej, dziewiczej szacie. Prócz Yellowstone-Park należy wymienić Iosemise-Park, założony w 1890 roku na szczycie najwyższych grzbietów gór Sierra-Newada i Sequoia-Park, założony również w 1890 roku w Kalifornji, ze słynnymi, odwiecznymi—1500 lat mającymi okazami drzewa mamutowego (Sequoia gigantea). Dziś Stany Zjednoczone Północnej Ameryki posiadają 19 rezerwatów, „parków przyrody", z których siedem (między innemi wulkany Kilanea i Mauna Loa na Hawai oraz Grand Canyon) utworzono już podczas wojny. Parki przyrody te istnieją dla użytku, obserwacji, zdrowia i przyjemności narodu. Interes ogólny (narodowy) musi decydować o wszystkich przedsięwzięciach społecznych i prywatnych, związanych z rezerwatem [1]). Oprócz tych, na wielką skalę założonych, istnieje jeszcze w Ameryce 34 mniejszych rezerwatów, tak zwanych „pomników" narodowych, o wartości nietylko przyrodniczej, ale i archeologicznej. Trzeba również dodać, że i społeczeństwo amerykańskie zrozumiało wartość i istotę ochrony przyrody, tworząc rozmaite towarzystwa, jak: „Towarzystwo przyjaciół parków narodowych", Ochrony zwierzyny i inne. Do tego trzeba dodać, że i jeden

---

[1]) „Ochrona Przyrody" 3 zeszyt str. 80.

z cudów świata, jakim jest niewątpliwie wodospad Niagara — został wykupiony przez rząd New-Yorku i rząd kanadyjski i w ten sposób uchroniony na wieki przed zakusami przemysłowców. W Ameryce północnej, prócz Stanów Zjednoczonych, utworzono parki przyrody w Kanadzie, Kolumbji i Meksyku, a w południowej Ameryce — w Argentynie (wodospad Iguam, lasy araukariowe w Andach) oraz w Chili. W Azji przedewszystkiem idea ochrony przyrody znalazła największe zrozumienie w Japonji, gdzie wśród ludu jest silnie rozwinięte poczucie i zamiłowanie przyrody. Prócz tego powstały rezerwaty na Jawie (przy słynnym ogrodzie w Duitenzorgu), w Indjach, na Cejlonie, na Libaronie (las cedrowy). Również w kolonjach Afryki, w Australji i w Nowej Zelandji powstają mniejsze lub większe rezerwaty, oraz ograniczenie wycinania lasów, polowań i t. d. Jeżeli teraz rzucimy okiem na kontynent europejski, to zobaczymy, że sprawa ochrony przyrody przedstawia się ogromnie smutno.

Pierwszym państwem w Europie, które zaczęło tworzyć u siebie parki przyrody na wzór amerykański, była Dania. W 1901 roku rząd duński wykupił przestrzeń 214 hektarów, zajętą przez potężną wydmę ruchomą, a w dwa lata później utworzył rezerwat wśród wrzosowisk zachodniej Inflandji (1875 ha). Na szerszą skalę jednak zorganizowno ochronę przyrody dopiero w 1905 roku, dzięki czemu otworzono jeszcze kilka mniejszych rezerwatów, mających doniosłą wartość biologiczną. Również w Szwecji w 1909 roku zaprojektowano dziesięć dużych parków przyrody (między innemi w Laplandji), łączących w sobie rozmaite krajobrazy tego północnego kraju.

Wielkie zrozumienie również ochrona przyrody znalazła w Szwajcarji; idea ta sięga wieku XVI; w miejscowości Kaipstock (Kanton Glarus) od 1569 roku nie padł ani jeden strzał. Jak głęboko sięga ochrona przyrody w Szwajcarji dowodzi fakt, że kiedy popularną dolinę Rütli chciano zeszpecić hotelami, dzieci szwajcarskie składkami centymowymi wykupiły ją i zabezpieczyły przed zniszczeniem.

Z inicjatywy prof. Sarazino z Bazylei powstaje w 1909 roku „Liga ochrony przyrody“, której dziełem jest utworzenie słynnego szwajcarskiego parku przyrody w Alpach w dolinie Val-Cluoza i sąsiednich (w dolnym Engadinie). Park ten stale rozszerzany obejmuje dziś około 200 klm². wspaniałego krajobrazu górskiego o bogatej florze i faunie i szczytami wznoszącemi się do 3000 metrów. Prócz tego Szwajcarja posiada dziś szereg mniejszych rezerwatów, w których są chronione charakterystyczne i ciekawe krajobrazy (lasy górskie w kantonie Urirotstoep, nizinie w St. Gallen, torfowisko na Jurze i inne).

W Niemczech idea ochrony przyrody została rozwinięta na szeroką skalę, zawdzięczając temu, że popularyzował ją człowiek wprost fanatycznie tej idei oddany Hugo Conwentz (rodem z Gdańska).

Od 1887 roku drogą odczytów, publikacji (262 rozprawy), agitowania na zjazdach przyrodniczych, tak spopularyzował tę ideę w Niemczech, że 1906 roku utworzono w Prusach „Państwowy Urząd ochrony osobliwości przyrody“, a państwowym komisarzem tego urzędu został zamianowany Conwentz.

Dzięki temu dziś Niemcy posiadają nietylko szereg dużych rezerwatów (jezioro Plage w Brandenburgji, torfowiska w północnych Niemczech, dolina Izary w Bawarji i inne), ale również i poszczególne ciekawe osobliwości przyrody zostały otoczone opieką i uchronione przed zniszczeniem.

Prócz tego i miasta starają się o ochronę lasów okolicznych, np. Drezno chroni 209 ha, Charlottenburg 184 ha, Düsseldorf 295 ha i inne.

Idee swoje Conwentz (zmarły w 1923 roku) popularyzował poza granicami Niemiec: Holandji, Danji, Szwecji, Francji, Anglji i Rosji. Zwłaszcza ciekawy ze wszech miar jest rezerwat w Rosji, wśród południowych stepów w Taurydzkiej gubernji, założony przez Falz-Feina. Prócz ciekawych obszarów pierwotnego stepu został tutaj utworzony zwierzyniec, w którym zgromadzono szereg ciekawych i rzadkich zwierząt.

Również we Francji, Anglji, Włoszech utworzono szereg rezerwatów, tak, że dziś prawie cała Europa stanęła pod hasłem ochrony przyrody, a urządzanie w tej sprawie zjazdów międzynarodowych (ostatni w Paryżu w 1923 roku), wyraźnie wskazuje na powszechne zainteresowanie się tą sprawą.

January Kołodziejczyk.

Dzikie barany.

W jednym z Nr. poczytnego „Przeglądu Myśliwskiego“ za rok ubiegły czcigodny senior gen. Grąbczewski w swych barwnych opisach polowań Pamirskich mówi nam o polowaniu na dzikie barany „argale“, nadmieniając przytem pobieżnie o innych typach tych zwierząt, żyjących wspólnie z argalami na płaskowzgórzach tego Dachu Świata, jak i graniczących z Pamirami sąsiednich okolic. Aby bliżej zapoznać z temi zwierzętami łaskawego czytelnika myśliwego, który w swem wiosennem życiu nie miał jeszcze sposobności zetknięcia się z niemi w ich surowej, dzikiej ojczyźnie, pozwalam sobie dać tu krótki opis ich typów.

Przedstawicielem owczego rodu jest dość liczna rodzina dzikich baranów, szeroko rozprzestrzeniona w górzystych stronach tak starego jak i nowego Świata i gdy jednych widzimy na głębokiej północy Alaski i Kamczatki, lub gór skalistych Ameryki, inne szeroko zamieszkują Środkową Azję, od gór Ałtajskich do stoków północnych

Himalajów, wschodnio - północnego pobrzeża rzeki górnego Indu, dalej ku zachodowi w Afganistanie Beludżystanie, Persji i Armenji. W niewielkiej niestety ilości widzimy go nawet w południowych stronach Europy — Hiszpańskich górach prowincji Muren, na Korsyce i w Sardynji; na przeciwległym brzegu północnej Afryki, od Atlasu do północnowschodniej Nubji i Abissynji. Typy tej tak licznej owczej rodziny są tak różne i niekiedy swą powierzchownością tak do kóz zbliżone, że określanie linji rozgraniczającej staje się bardzo dla zoologów trudnem zadaniem i tak, gdy Nagor lub pendżabski muflon jest czemś pośredniem między owcą a kozą, Argal Pamirski, Kanadyjski muflon, są czystymi typami baraniemi z ich wszelkiemi cechami, tak zewnętrznemi jak i wewnętrznemi, tej rasie właściwemi.

Od jakiego właściwie gatunku pochodzi nasza domowa owca „ovis aries" trudno dziś dociec. Wskutek wiekowej opieki nad nią człowieka i starannej hodowli, ulepszenia przez dobór w ich krzyżowaniu, nasza owca zatraciła bardzo wiele cech pierwotnego swego dzikiego pochodzenia, a jednakże ani jej delikatna miękkość i wysadność wełny (jaką od półwieku otrzymali hodowcy przez krzyżowanie merinosów) ani obwisłość jej długiego ucha, ani różnorodność rogów u naszych baranów nie powinna nas w błąd wprowadzać i pozwolić nam zapomnieć o tych cechach wspólnych, jakie pomimo tak odmiennych warunków życia dotąd w sobie jeszcze przechowały. Te same zamiłowania stadnego życia, upodobanie naszej górskiej owcy do łażenia po górach, wyszukiwania w ciasnych szczelinach mizerniejszej paszy i obierania legowisk na pochyłościach skalnych, ta sama zaczepność baranów, chęć do walk między sobą zawsze, a wczasie rui osobliwie, jak również termin brzemienności samic, wahający się między 150—160 dniami i czas majowego wykotu, wskazują nam na pewną łączność dawną. Nie wszystkie też odmiany dzikich owiec są pozbawione wełnistej odzieży — u wielu z nich znajdujemy pod szorstką ich wierzchnią szerścią miękki, wełnisty, kędzierzawy puch białawy, swem ciepłem chroniący je od srogości górskiego klimatu. Zato dziki baran w przeciwieństwie do naszej bezwolnej, leniwej i nad wyraz głupiej owcy, tych cech wiekowej jej niewoli, odznacza się tak siłą, zręcznością, sprężystością, jak i wysoką czujnością i odwagą, jaką okazuje w zręcznem bieganiu po skałach urwistych, przesadzaniu znacznych rozpadlin i śmiałem rzucaniu się w głębokie karkołomne przepaście. Nie jeden inteligentny myśliwiec w podziwie i zachwycie nad pięknym widokiem pędzącego w szalonym biegu po kantach urwistych skał stada, przeskakującego przepastne szczeliny i rzucającego się na złamanie karku w spadziste głębiny, robiącego świetne salto-mortale i zjawiającego się na przeciwległej krawędzi górskiej, zapomina o celu swej pełnej trudu i niebezpieczeństwa wyprawie dalekiej i bez strzału przepuszcza stado.

Pamirski Argal vel Kaczkar. Tem mianem Azjaci ochrzcili ogólnie dzikiego barana i dopiero europejscy podróżnicy - naturaliści w ostatnich czasach podzielili na grupy i nadali im oddzielne nazwy. Najwspanialszymi przedstawicielami dzikich baranów i zajmującymi naczelne wśród nich miejsce, a z sobą najbliżej pokrewne są pamirskie ovis Poli i ovis Argali. Dwa te typy czas długi uważane były za jedną rodzinę i dopiero w drugiej połowie ubiegłego stulecia rosyjki uczony Siewierców znalazł pewne w nich różnice i nadał im oddzielne imiona. Gdy właściwą i ze ściśle określonemi granicami ojczyzny dla ovis Poli są Pamiry, a ich wysokie olbrzymie płaskowzgórza ulubionemi ich pastwiskami, zaś 4.000 metr. wyżyny ochronnemi miejscami ich spoczynku i płodów, gdzie w stadach po kilkadziesiąt, a nawet kilkaset głów spotykać je można, Argala widzimy więcej na dalej ku północy wysuniętych pamirskich wyżynach i sąsiadujących z niemi Tian-Szańskich i Han-Tangryńskich górach. Oba te typy nie ustępują sobie w masywności swej budowy, ani też w rozroście, odpowiadającym naszemu szlachetnemu jeleniowi, dochodzącemu do 1,20 mtr. wysokości w kłębie i wagą przechodzą dwóch tęgich baranów swojskich. Pokrywa je kamienisto - ciemna gładka szerść u ovis Poli dłuższa, zaś u starych Argali jaśniejsza, u jednych i drugich na podgardlu i piersiach z białym widocznym odcieniem. Pod grubą ich wierzchnią odzieżą całe ciało pokrywa wełnisty miękki puch białawy, drobno kędzierzawy. Z posiadanych kilku skór tych zwierząt zauważyłem u niektórych rudawy odcień szerści na łopatkach i niskich częściach boków. Wspaniałą ozdobą tych stworzeń są ogromne spłaszczone, dość wybitnie gęsto fałdowane, szarego koloru rogi, u Poli samca podwójnie skręcone, do 70 ctm. długie, u samicy krótsze, prostsze i więcej ku przodowi stojące, u Argala Palassa grubsze, przy osadzie, nietylko kręte i cokolwiek krótsze, wydają się masywniejsze od poprzednich.

W latach 1904—8 nauczyciel Orłów z Fergańskiej Oszy nadesłał mi dla Macierzy Szkolnej w Warszawie, uniwersytetu w Gracu i muzeum Grünbergskiego 42 pary tych pięknych rogów, z których 3 pary z całemi głowami przechodziły wagę dwupudową, gdy kilka par Ałtajskich muflonów Litldama od konserwatora Irkutskiego muzeum Kiryłowa nie dochodziły nawet pudowej wagi. Nie mniej podziwiać trzeba racice jak ze stali wykute, o podeszwie chropowatej. ułatwiającej bieganie po gładkich i stromych kantach kamienistych. W czasie rui stado wydaje ostry zapach piżmowy, barany są podwójnie czujnie i ruchliwie—staczają zacięte walki o pierwszeństwo—luźne stada łączą się i gromadzą w wielkie gromady, kocą się w maju, a jagnięta pozostają przy matce do późnej jesieni.

Korsykański muflon o. Musimon. Dwa ciekawe i charakterystyczne stworzenia zamieszkują skalistą Korsykę, a mianowicie korsykański bandyta i muflon. Dzięki niedostępnym skałom, dwa te tak sobie odmienne typy do dziś dnia tam się przechowały, znajdując w głębokich szczelinach, tajemniczych jaskiniach i ciemnych pieczarach skalistego tego zakątka bezpieczne dla siebie schronisko i spokój przed swymi prześladowcami. Pozostawimy bandytę czułej opiece policji, a zajmiemy się naszym muflonem. Ten gatunek barana jest wyłącznie europejskim, niestety już w bardzo małej ilości zamieszkujący Korsykę. Sardynję i Cypr, gdzie cieszy się szczególną opieką angielską, polowanie na niego jest zupełnie wzbronione. Co do istnienia jego w Sierrach i skalistej Murenie Hiszpańskiej są pewne wątpliwości w ostatnich czasach. Kształtne to stworzenie, o dość wysokim wzroście 1 metra, o musku-

larnej budowie ciała, i stalowych nogach pokrywa szerść gładka, latem i jesienią jasno czerwonawo bronzowa z wyraźną bielizną na garbie, brzuchu i bokach, która w czasie zimy, przy ciemniejszem ubarwieniu, występuje jeszcze jaskrawiej. Dość długie uwłosienie podgardla i piersi jak i dłuższy, jak u podprzednich typów ogon białawy, są właściwą cechą tego muflona. Na zimę ciało pokrywa miękki puch, pod grubą wierzchnią wyrastający szerścią. Głowę muflona tego zdobią piękne owalne, spiralnie zagięte, długie i bardzo mocne rogi, tworzące niemal całkowity krąg. Są one pożądaną zdobyczą dla wielu myśliwych, a szczególnie dla anglików, którzy polowanie na te muflony uważają za pełne niezwykłych emocji i wrażeń i oddają się im chętnie. Najlepszy czas polowań jest październik i listopad, gdyż w tym czasie mniej niepokojone przez pastuchów i ich psów schodzą z gór na niżej położone pochyłości, przechodzą z miejsca na miejsce w celu wyszukiwania sobie lepszej paszy i dają się częściej spotykać. Latem są niewidzialne, pasą się nocami, w dzień uchodzą na niedostępne wyżyny. Aby uchronić od zagłady te już dziś rzadkie stworzenia w Leonardoli urządzono duży park ze sztucznemi skałami i grotami, gdzie kilkanaście rodzin muflonów żyje na zupełnej swobodzie. Nadkompletny przyrost corocznie bywa wypuszczany na wolność i w rodzinne góry powraca. W północno-zachodniej Persji, w okolicy Elborusa, na szczytach Kara Dag i Kara Su — na Araracie i w Armenji mieszka bliski krewniak korsykańskiego muflona, czysto baraniego typu, o ciemnej brunatnej skórze, więcej spłaszczonymi, mniejszymi ozdobiony rogami. W czasie pobytu w kraju Tałyszów 1905 roku w zbiorach p. Wasilewskiego w Lenkoranie widziałem rogi Kara-Dagskiego barana o wadze 32 fun. i rozmiarze 40 cm długości.

Kanadyjski muflon o. Montana. przez Amerykanów Bighornem zwany, zamieszkuje Skaliste Góry Półn. Ameryki, brytańską Kanadę i północny Meksyk. Jest coraz rzadszym w tym Nowym Świecie, gdzie w niedalekiej może już przyszłości zagraża mu zupełny zanik.

Ani kształtami swej budowy silnej, ani też wzrostem nie odróżniają się od pokrewnych sobie rodów azjatyckich, żyją również na szczytach dzikich skał, skąd w czasie srogich zim i wielkich śniegów spuszczają się w doliny, a zmuszone głodem zachodzą w wysokie lasy, odżywiając się ogryzaną z drzew korą. Spotykano je w tych lasach w towarzystwie jeleni. Lubią bardzo sól, w wyczekiwaniu której zjawiają się na płaszczyznach obfitujących w „słonczaki“ gdzie w miękkim gruncie wygryzają i wylizują jamy w których mogą się bezpiecznie pomieścić. Tumer w żołądkach zabitych w brytańskiej Kolumbji znajdował gliniane skamieniałe kule, wielkości jaja. Rogi tego Bighorna bardzo przypominają argala, są więcej jeszcze wygięte ku tyłowi i szczelniej ku sobie przystają przy samej osadzie na czaszce. Bardzo zbliżony do tego typu jest baran Kamczacki, ciemny i długim włosem pokryty, a piękny ich rodak zupełnie biały żyje na Alasce. Pośrednim między tymi typami jest brunatny, mniejszy od nich baran Littldama, spotykany także w górach Mongolskich, graniczących z Syberją.

Łańcuchy olbrzymich Himalajów, skalne płaskowzgórza surowego Tybetu, wyniosłości górnego porzecza Indu, Hindukusz, Afganistan, północna Persja i część Turkiestanu, Beludżistan i Horostan służą za obszerne pastwiska i dogodne schroniska dla kilku odrębnych typów baranów i kozłów o jakich mówią nam myśliwi, te dzikie, dalekie kraje zwiedzający. Już nie ilość tych różnych stworzeń wprawia nas w zdumienie, lecz uderza nas widoczna różność w ich kształtach, ubarwieniu i odmiennej formacji upiększających ich głowy rogów, i gdy jedne są jeszcze typami czystego baraniego rodu, inne posiadają już pewne cechy koźlego pokrewieństwa.

Gdy w Tybetańskim rogalu Hudźsona i w baranie o. Kaselini, jak niemniej w indyjskim Urialu o. Vigner, widzimy przedstawicieli górskiej owcy, z jednolitem ubarwieniem szerści, mniej lub więcej spłaszczonemi i krętemi rogami, w Himalajskim Nagor-Baralu, przez Anglików „niebieskim baranem“ zwanym, jak go opisuje Brian Hudżson, przebija już pewne pokrewieństwo z kozłami. Nie posiada on wprawdzie tego ostrego, specyficznego zapachu, właściwego wszystkim tego rodzaju zwierzętom, lecz wyraźne ciemne plamy niekształtne, pokrywające głowę i ostro oddzielające bieliznę brzucha od ciemnobrunatnych boków i przechodzące na golenia aż po za kolana do racic, znamionują pewne pochodzenie koźle, co jeszcze więcej potwierdzają mało spłaszczone — szeroko rozstawione, w łuk duży wygięte rogi ze zwróconemi ku dołowi końcami (długości 70 ctm.). Bastard ten jest szeroko rozprzestrzeniony na całych północnych Himalajach i graniczących z niemi wyżynach południowo-środkowej Azji do granic Indji, gdzie ulubionemi miejscami jego samotnej włóczęgi są 5,000 mtr. skaliste wyżyny. Nie spotykano go w stadach większych, a największe egzemplarze zdobyto nawet na wyżynach po nad 5,000 mtr. Młode dają się łatwo przyswajać i są zupełnie do koźląt podobne, również swawolne, zręczne i wesołe zwierzątka. Mięso tych kóz-owiec ma być bardzo smaczne.

Muflon Pendżabski. Po obu stronach rzeki Indu, na wyżynach otaczających go górskich łańcuchów w Karakorum i Hindukuszu żyje jedno z najbrzydszych stworzeń, należące do owczej rodziny, pendżabski muflon, jedyny indyjski przedstawiciel. Jak wśród licznych swojskich owiec mamy gatunki mało wełniaste lub zupełnie bezszerstne, jak Somalijska owca, tak wśród ich dzikich krewniaków ten pendżabski baran jest jedynem zwierzęciem, skrzywdzonem tak przez mamę-naturę, że zupełnie jest bezwłosem stworzeniem. Dziwnem też musi się wydać każdemu, jak te nagie zwierzę przetrzymuje srogość górskiego klimatu, żyje tam i płodzi się! Przy dość kształtnej budowie korpusa, osadzonego na wysokich nogach kolankowych, duża owcza głowa, tkwiąca na cienkiej długiej szyi powiększa jeszcze brzydotę tego zwierzęcia, nawet szeroko na łbie rozstawione małe rogi, jak zabite w czerep kołeczki sterczące prostopadle powiększają tę brzydotę. W tym ostatnim upatrują również pewne zbliżenie i pokrewieństwo z kozłami.

Arui czyli grzywiasty muflon o. Tragelaphus. W tem czysto Afrykańskim baranie naturaliści chcą widzieć jeden z najpiękniejszych okazów tej rodziny, z czem jednak dość trudno jest pogodzić się patrząc na szpecący to zwierzę jego łeb duży

i ciężką, masywną budowę korpusu, na krótkich osadzonego nogach, co nadaje mu pozór pewnej ciężkości i niezgrabności. Mimo rzucających się na pierwszy rzut oka widocznych cech koźlich, jak długa broda, ogon znaczniejszy jak u innych baranów, kolankowatych nóg, tragelaphusy należą do rodziny owiec. Nie mniej od charakterystycznej brody zdobi je duża grzywa, na piersi i przedzie nogi spadające, jak i para silnie na czaszce osadzonych spłaszczonych dość rogów, zagiętych w potężny łuk końcami do siebie zwrócony. Według słów Arabów zwierzę to prowadzi samotne życie, włóczy się pojedyńczo po największych skałach, obiera swe leże na kantach skał nad urwiskami, panującemi nad całą okolicą, skąd rozległy widok roztacza się na fantastycznie nagromadzone gromady skał, głębokie w nich rozpadliny, ciasne wąwozy, obszerne płaskowzgórza, okryte spaloną pożółkłą trawą, na zadrzewione doliny i zielone gaje z jednej, a na bezbrzeżną piaszczystą Saharę z drugiej strony. Urocze te widoki są poniekąd sowitą nagrodą dla myśliwych za ich mozoły i trudy najczęściej bezowocne. Trogelaphus zamieszkuje łańcuchy Atlasu — szczyt pięknego Auresu — wyżyny Algieru i wschodnie granice Nubii i Abissynii. Bywa widywany na samotnie znajdujących się w dalekiej pustyni Sahary kompleksach skał rozrzuconych. W czasie strasznych upałów, gdy prostopadłe promienie słońca zdają się rzucać ogień na ziemię i rozpalać ją do białości tragelaphus szuka chłodu w ciasnych zagłębieniach skał, z któremi tak harmonizuje barwa jego odzienia. Na tym krótkim opisie kończę swe szczupłe wiadomości o baraniej familji, pozostanie mi jeszcze wspomnieć w przyszłości o pokrewnych i odrębnych typach kozłów, żyjących na tych samych, co barany terenach, lub zupełnie w oddzielnych krajach.

Wł. Czerniejewski.

Międzynarodowe zawody strzeleckie w Reims.

Reims, 18. 6. 24.

Strzelanie z dowolnej długości broni na odległość 300 mtr., do którego stawało 14 państw, zostało ukończone w dniu 16 czerwca. Polska drużyna strzelecka nie mogła wziąć w nim udziału z powodu późnego przybycia (złe połączenia kolejowe i trudności z transportem broni).

Mistrzem świata został znowu Amerykanin Fischer, zeszłoroczny mistrz, osiągając 1075 punktów na maximum 1200. W poszczególnych pozycjach mistrzostwo osiągnęli Szwajcar Zimmerman w poz. stojącej 339 p. na 400; Amerykanin Fischer 365 p. na 400 w pozycji klęczącej i Amerykanin Stockes 383 p. w pozycji leżącej.

Amerykanie, jak ogólnie przewidywano, zajęli w strzelaniu z dowolnej broni długiej pierwsze miejsce.

Według narodowości na maximum 6000 punktów (5 strzelców×12 serji×10 strzałów×10 punktów =6000) osiągnięto wyniki: Ameryka 5284, Szwajcarja 5184, Francja 5096, Argentyna 5093, Danja 5072, Finlandja 5036, Szwecja 4961, Włochy 4872, Holandja 4852, Haiti 4819, Norwegja 4764, Belgja (drużyna zdekompletowana) 4617, Rumunja 2850. Czechosłowacja — strzelanie przerwała z powodu swej broni, przewidując z góry porażkę. Ponadto dwie drużyny nie stanęły wogóle do zawodów: Hiszpanja i Portugalja. Czesi, podobnie jak Polska drużyna przyjechali z bronią typu wojskowego (Mannlichery). Broń taka na międzynarodowych zawodach niema żadnych poważniejszych szans.

Reims, 20. 6. 24.

Szesnaście narodowości walczyło o palmę pierwszeństwa w strzelaniu z pistoletów. Trzy państwa: Grecja, Monaco i Rumunja w ciągu konkursu odpadły, trzynaście walczyło do końca.

Mistrzem świata na rok 1924 został Szwajcar, Dr. Schnyder, osiągając 531 punktów na możliwych, 600 (6serji×10 strzałów×10 punktów=600 punktów)- drugie miejsce zajął Belg, Van Asbroek—527 punktów i trzecie miejsce Duńczyk, Lherman—527. Według narodowości, kolejno osiągnęły rezultaty: Szwajcarja 2572 (na możliwych 3000), Francja 2561, Danja 2540, Ameryka 2503, Hiszpanja 2424, Belgja 2421, Argentyna 2420, Włochy 2418, Portugalja 2412, Finlandja 2327, Czecho-Słowacja 2302, Holandja 2109, Polska 1576.

Czemu przypisać, żeśmy zajęli ostatnie miejsce? Przedewszystkiem prawie wszystkie państwa wysłały dwie oddzielne drużyny dla strzelania z broni długiej i z pistoletów. Więc naprzykład w drużynie włoskiej znamy tylko jedno nazwisko, które się powtarza (Isnardi), drużyny amerykańskie mają skład zupełnie różny, tak samo drużyny szwajcarcarskie, francuskie, w drużynach czeskich powtarzają się dwa nazwiska (Sucharda, Byczański). Trudno wymagać, aby najbardziej wytrenowany strzelec mógł podołać w strzelaniu z broni długiej i krótkiej. Nie jest to wskazane dla wyników. Tymczasem w drużynie polskiej wszystkie nazwiska powtarzały się. Największą przeszkodą była jednak broń. Absolutnie nikt poza nami nie przywiózł broni typu wojskowego. Strzelanie z parabellum miało ten skutek, żeśmy robili trójki, dwójki, dziewiątki i dziesiątki oraz denerwowaliśmy sąsiadów głośnym wystrzałem. Zawodnicy nasi dali z siebie wszystko co mogli, wytrwali do końca i pokazali Francuzom, którzy wskazywali nam przykłady wycofywania się z konkursu (Czesi z broni długiej, Rumunja—z pistoletów), że Polacy na zajętej pozycji trwają do końca. Holendrzy, na równi z innymi posiadający pistolety tarczowe, mają strzelców gorszych od naszych.

Osiągnęliśmy nikłe wyniki w strzelaniu, ale bogaty materjał porównawczy i dużo doświadczenia.

K. Kierzkowski.

Z TOWARZYSTW MYŚLIWSKICH

XXIII Zjazd Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego we Lwowie w dniach 13 i 14 z. m.

Tradycyjny zjazd połączony z konkursowem strzelaniem myśliwskim otworzył *hr. Juljusz Bielski.* Z serdecznem powitaniem zwrócił się do przybyłych z Warszawy gości, delegata Centrali warszawskiej p. Antoniego Wysockiego i prezesa Związku Strzeleckiego—wiceprezesa Komitetu Zawodów Strzeleckich, p. dr. Dłuskiego. Hrabia Bielski wskazał na ogromne niebezpieczeństwo, grożące naszemu łowiectwu, na wypadek uchwalenia podatku 50 (40, 30 i 5) groszowego od hektaru dzierżawionej pod polowanie ziemi. Wówczas podatek wynosiłby w niejednym wypadku miljardy, prawdziwi myśliwi przestaliby zajmować się polowaniem, a korzyść miałby tylko kłusownik.

W mowie swej nawoływał hr. Bielski do poszanowania słonek i dzika a także i lisa,nadmiernie tępionego. Wskazał na 50 lecie M. T. Ł. za cztery lata, które powinno być połączone z powszechną polską wystawą łowiecką. P. Wysocki z Warszawy dziękując za powitanie go, zadeklarował nagrodę dla M. T. Ł. dla uczczenia 50 lecia.

Następnie członkowie uchwalili wniosek hr. Stefana Badeniego stojącego w obronie wyprawy myśliwskiej hr. Potockiego do Etjopji. Sekretarza p. Danka uwolniono od czytania protokułu i sprawozdania z czynności Wydziału, poczem rozwinęła się dyskusja.

Delegat Krakowa *p. Ćwierzewicz* zaatakował Redakcję „Łowca", dlaczego nie umieściła sprawozdania z I zawodów strzeleckich o mistrzowstwo Polski i domagał się w następnym numerze umieszczenia tegoż. *P. Prek.* zwrócił uwagę, iż za 4 lata nowa Olimpjada musi zastać nas przygotowanych; strzelców i to znakomitych Polska ma, niema jednak broni i amunicji; zwraca następnie uwagę, iż Lwowski „Sport" nie miał racji, gdy domagał się stanowczo wysłania drużyny myśliwskiej—strzeleckiej na Olimpjadę a to dlatego, iż szans nie mamy żadnych. *Prof. Wacek* natomiast udowodnił, iż wysłanie drużyny było konieczne nie ze względu na szanse, lecz aby zaznaczyć bytność strzelców polskich na Olimpjadzie a zwłaszcza, aby zobaczyć broń zagraniczną, konkursową, zetknąć się ze słynnymi strzelcami—słowem nauczyć się czegoś, Wysłana bowiem drużyna strzelecka wojskowa interesować się będzie tylko bronią wojskową, karabinami, o broni myśliwskiej bladego pojęcia nie mając, wysłanie więc drużyny myśliwskiej było i jest koniecznością. Na to *Dr. Dłuski* stwierdził „non possumus", iż rząd nie ma pieniędzy, a wojskowych wysłało M. Spr. Wojsk. na swój koszt. *Dr. Sander,* którego przez aklamację wybrano III-cim wiceprezesem M. T. Ł., mówił o podatku 50 groszowym od prawa dzierżawy polowań, wykazując, iż to zabije nietylko nasze łowiectwo, lecz ucierpią i fabryki krajowe z bronią i export naszej zwierzyny zagranicę.

Imieniem Komisji rewizyjnej zdał sprawę *p. Taht,* poczem W. Zgrom. jednogłośnie udzieliło ustęp. Wydziałowi absolutorjum. W Kasie Tow. jest gotówka około dwóch miljardów mkp. Przy sprawozdaniu z funduszu na ołtarz św. Huberta, rozliczni mówcy ostro skrytykowali projekt obrazu malarza Sichulskiego, który nie ma żadnych walorów artystycznych. Sprawę tę polecono Komitetowi.

Na wniosek skarbnika *p. Pieszczykowskiego* uchwalono budżet na rok przyszły, nadto uchwalono składkę miesięczną 1½ zł. i 50 gr. na wystawę.

Sprawę 50-lecia M. T. Ł. referował wiceprezes *p. Mniszek* i postawił wniosek, iż w r. 1926 W. Zgrom. poleca wydziałowi MTŁ. urządzić wystawę łowiecką.

Dyr. Małaczyński referował sprawę zmiany statutu, poczem dokonano wyboru wydziałowych p. Kwiatkowskiego, Marjańskiego, Jędrzejowicza i Pieńczykowskiego, nadto zastępców płk. Pieniążka, Dr. M. Gedroycia i Stan. Preka. Po uchwaleniu licznych wniosków, prezes hr. Bielski zamknął Zjazd, polecając opiece licznie zebranych delegatów stan łowiectwa Małopolski.

* * *

Konkursowe zawody strzeleckie, tradycyjnie odbywane z okazji zjazdu, trwały dwa dni, 13 i 14 czerwca, w piątek i sobotę i wykazały ogromny spadek formy strzelców małopolskich, czy też wyjątkowe działanie nerwów z małymi wyjątkami prawie u wszystkich. Na podkreślenie zasługuje jedynie wynik strzelania do ruchomego lisa p. Henryka Preka przy rekordowej ilości punktów 25, nadto zimną krew pp. Drohojowskiego i Czesł. Barańskiego; również w strzelaniu do krążków stwierdził swą klasę p. Józef Jabłonowski. Wielu jednak i to mistrzów z I Narodowych Zawodów Strzeleckich, odpadło zupełnie, fatalnie pudłując!

Zawodom przypatrywała się doborowa publiczność i wielu delegatów M. T. Ł. Oto wyniki strzelania.

Piątek 13 czerwca:

Do tarcz stałych 100 kr.: 1) Drohojowski 255 p., 2) Prek Henryk 230 p, 3) por. Podoski 200. 300 kr. z lunetą; 1) Haszlakiewicz, 2) Orski, 3) Reichardt. Z pistoletów: 1) Drohojowski, 2) Rubczyński,

Sobota 14 czerwca.

Strzelanie pojedyńcze do dzika, 100 kr.: 1) Barański Eustachy 20., 2) Jakubowicz 17 p., 3) Haszlakiewicz 16 p. po rozstrzeliwaniu się z Burzyńskim. Strzelanie w dubletach do dzika na 100 kr.: 1) Drohojewski Jan 32 p., 2) Barański Eustachy 30 p., 3) Reichard Stefan 25 p. Strzelanie do lisa na 100 kr.: 1) Prek Henryk 25 p., 2) Reichard Stefan 14 p., 3) Barański Eustacy 13. Strzelanie „juniorów" do dzika na 100 kr.: 1) Papara Antoni 13 p., 2) Kownacki Tadeusz 13 p., 3) Sander Zbigniew, 4) Orski (junior) Strzelanie do krążków: 1) Jabłonowski Józef 10 krążków, 11 strzałów, 2) Drohojowski Jan 10 krążków, 18 strzałów, 3) Haszlakiewicz 9 krążków, 10 strzałów Strzelanie o nagrodę „Knieji" w dubletach do dzika i lisa. Reichard Stefan 36 p. Strzelanie „zwycięzców": Prek Henryk. Naogół strzelano bardzo marnie.

M.

Kółko Myśliwskie w Górze Kalwarji (powiat Grójecki) *).

Bezład powojenny w zakresie myśliwstwa i łowiectwa, panujący w naszych okolicach przyczynił się do zawiązania Kółka Myśliwskiego w Górze-Kalwarji.

---

*) Kółko Myśliwskie w Górze-Kalwarji należy dziś do najlepiej prowadzonych Kółek Myśliwskich w kraju. (Przyp. Red.).

Kółko istnieje od 7 sierpnia 1922 roku.

Tereny dzierżawione przez Kółko obejmują morgów 9.434 w 14 wsiach.

Obecnie Kółko liczy 50 członków, w tym: 3-ch księży, 4-ch posiadaczy wielkiej własności, 20 warszawiaków i 23 drobnych rolników i miejscowych inteligentów i półinteligentów.

Zarząd stanowią:

pp. Okęcki Konstanty. właściciel Brzesc (prezes);
Ks. Edward Kamiński, z Góry-Kalwarji;
Wasiutyński Stanisław, właściciel Czaplina;
Dzejko Aleksander, z Góry-Kalwarji;
Zabłocki Włodzimierz, „
Kuźmiar Józef, „
Dąbrowski Apolinary, „

Od dnia powstania Kółka zarząd wypowiedział nieubłaganą walkę kłusownictwu.

Dotychczas odebrano 8 strzelb kłusownikom, 10 kłusowników pozbawiono pozwoleń na broń, zniszczono wielką ilość sideł i wnyków, w pięciu wypadkach nagrodzono policję za odebranie broni i kilku członków wykreślono za niewłaściwe prowadzenie się.

Pozatem Zarząd, udzielając opinji o starających się o pozwolenia na broń, przyczynia się do tego, iż niepożądani myśliwi pozwoleń nie otrzymują.

Od dnia zawiązania Kółka została wprowadzona ochrona kuropatwy, dzięki której obecnie ilość kuropatw zwiększyła się znacznie.

Tereny wogóle nieszczególne; przypisać to należy mocno rozwiniętemu kłusownictwu oraz bliskości Warszawy, z której myśliwi, dzierżawiący sąsiednie tereny, wcale niedbają o dobry zwierzostan, a nawet nieproszeni odwiedzają nie swoje tereny.

Zarząd żywi nadzieję, że wszelkie trudności pokona i że wyniszczony zwierzostan powróci wkrótce do stanu przedwojennego.

W tym celu Zarząd ma zamiar zmniejszyć ilość myśliwych i zwiększyć obszar wpływów i terenów.

W ubiegłym sezonie na terenach Kółka polowano w 4-ch terminach. Rezultat polowań: 120 zajęcy i kilka drapieżników. Połowa myśliwych udziału w polowaniach nie przyjmowała.

Za króla polowania uważać należy księdza Zajkowskiego z Konar, któremu również należy się pochwała za sprężyste i energiczne prowadzenie polowań.

O pudlarzach, niżej podpisany, woli zamilczeć, gdyż i jego nazwisko musiałoby w ich liczbie wcale nie na ostatnim miejscu figurować.

m. Góra-Kalwarja, 9 lutego 1924 r.

A. Dąbrowski, sekretarz.

Kółko Myśliwskie w Górze-Kalwarji niezwykle uroczyście obchodziło dzień 27 kwietnia r. b., a mianowicie:

O godzinie 9$^1/_2$ rano w kościele parafialnym na intencję Kółka zostało odprawione Nabożeństwo, zakończone pięknym przemówieniem ks. Edwarda Kawińskiego.

Po nabożeństwie członkowie Kółka spożyli wspólne śniadanie przy niezwykle miłym nastroju w prześlicznie udekorowanej sali teatralnej.

Następnie odbyło się zwyczajne roczne zebranie członków Kółka, na którym zatwierdzono sprawozdanie zarządu i wyrażono podziękowanie zarządowi za owocną pracę. Na miejsce ustępujących przez losowanie dwuch członków zarządu pp Okęckiego i Dzejko, wybrano ich ponownie. Podniesiono składki do 25 zł. i wpisowego do 25 zł. Uchwalono ograniczenia przy przyjmowaniu nowych członków.

Po wspólnym obiedzie członkowie Kółka udali się na strzelnicę wojskową, na popisy strzeleckie. Pogoda nie dopisała. Strzelano do krążków, butelek i tarczy.

Wyniki w strzelaniu do tarczy na odległość 35 m. z karabinka Francott'a.

1)	p. Zbigniew Zabłocki z Góry-Kalwarji	172	punkt.
2)	p. X.	120	„
3)	p. Józef Goliński z Warszawy	124	„
4)	p. Stanisław Wasiutyński z Czaplina	120	„
5)	p. Zabłocki Włodz.	104	„
6)	p. Zabłoki Jan	91	„
7)	p. Zabłocki Marjan	86	„
8)	p. Ocetkiewicz Witold	75	„
9)	p. Kowalski Zbig.	74	„
10)	p. Rzeźnik Stan.	70	„

W strzelaniu do butelek p. Zbigniew Zabłocki zdobył również pierwsze miejsce.

Maszyna skombinowana przez p. W. Zabłockiego dobrze wyrzucała krążki, ale krążki na deszczu rozmiękły i trafione nie pękały.

W celu upamiętnienia zjazdu myśliwych, członek Kółka p. St. Bogacki z Warszawy, sfotografował zebranych.

Wieczorem odbył się koncert myśliwski, dochód, z którego przeznaczono na walkę z kłusownictwem. Zapowiedziany przyjazd p. redaktora Ejsmonda i p. Korsaka licznie zgromadził publiczność.

Na koncert złożyły się:

Cudna gra na pianinie p. Jadwigi Czarnockiej z Warszawy; śpiew p. Szyllera z Warszawy; deklamacje p. Jana Zabłockiego z Góry-Kalwarji, Zenia Bieńkiewicza z Góry-Kalwarji; oraz jednoaktówka p. t. „Dwóch Głuchych", odegrana przez sekcję T-wa Kulturalno-Oświatowego w Górze-Kalwarji.

Zabawą taneczną, trwającą do rana, przy obficie zaopatrzonym bufecie, zakończono uroczystość, która dała pokaźny dochód na ochronę zwierzyny.

Apolinary Dąbrowski.
(Sekretarz Kółka).

14 czerwca 1924 r.
m. Góra-Kalwarja.

SPRAWOZDANIE

z Nadzwyczajnego Walnego Zebrania Członków Lubelskiego T-wa Łowieckiego odbytego w lokalu własnem przy ul. Niecałej № 1 w Lublinie.

Posiedzenie zagaił Prezes T-wa p. Eugenjusz Frieman i zaproponował na przewodniczącego p. hr. Adama Komorowskiego—Suffczyńskiego, którego zebrani jednogłośnie wybrali. Hr. Komorowski wybór przyjął i po krótkiem przemówieniu na asesorów zaprosił pp. Feliksa Moskalewskiego i Stefana Jaegera, na trzymających pióro pp. Franciszka Witkowskiego i Ignacego Grąbczewskiego. Po zatwierdzeniu przez zebranych porządku dziennego i odczytaniu przez Sekretarza Towarzystwa p. I. Grąbczewskiego zestawienia kasowego za okres od dnia 1 lipca r. 1923 do dn. 25 kwietnia r. b., Prezes T-wa p. Frieman w zwięzłem przemówieniu zilustrował ogromną różnicę pomiędzy stanem finansowym T-wa w d. 1 lipca r. 1922 i w dniu dzisiejszym, wykazał jakie prace podjęte zostały w okresie sprawozdawczym w sprawie ochrony i podtrzymania zwierzostanu podczas tak mroźnej i śnieżnej zimy, *jakie starania i zabiegi porobiono w walce z kłusownictwem i wnykarstwem, wreszcie jakie trudności pokonano przy dostarczaniu zwierzynie karmu*, bądź drogą nabywania gotowej paszy

bądź obsiewania pólek roślinami, jak również przy zdobywaniu nowych terenów łowieckich. Następnie p. Frieman wyjaśnił potrzebę rozchodowania kilkusetmiljonowej sumy na koszty delegacji do Zarządów dóbr i lasów Państwowych w Radomiu i Siedlcach, jak również i do Nadleśnictw dla wyjaśnień i załagodzeń rozmaitych pretensji stawianych przez władze leśne, przeważnie lokalne, w sprawach użytkowania terenów łowieckich i innych nieporozumień. Oświadczył, że obecnie *T-wo składa się z 104 członków*, że lista została zamknięta i przyjmowanie członków będzie wznowione z chwilą wydzierżawienia nowych terenów, w wydzierżawieniu których niestety. Zarządy lasów i dóbr Państwowych odmawiają lub zwlekają z odpowiedzią, pomimo, iż niejednokrotnie zwracano się do nich z ofertami, proponując duże stawki mogące się przyczynić do znacznego podniesienia dochodów państwowych. — Prezes wyraził ubolewanie, że niektórzy członkowie zalegają w opłacie składek członkowskich, wynoszących obecnie 15 zł. kwartalnie.

Z wyjaśnień p. hr. Komorowskiego i p. Friemana zebrani dowiedzieli się, że teren w Świdniku zostanie otoczony specjalną opieką Zarządu T-wa, tam będzie siedziba objazdowego, tam projektuje się założyć bażantarnię i hodowlę zajęcy. Następnie poruszono sprawę *zaopatrzenia bibljoteki T-wa* zapoczątkowanej już w tym roku kupnem większej ilości dzieł treści łowieckiej. Zebrani wniosek ten przyjęli entuzjastycznie, postanowili przeznaczyć z funduszów T-wa 100 miljonów mk., p. Stefan Jaeger zadeklarował kilka dzieł ze swej bibljoteki Zgodnie z wnioskiem p. Kucharskiego, ażeby otworzyć listę dobrowolnych na ten cel ofiar posypały się składki i obecni złożyli sumę 190 miljonów marek.

Kulminacyjnym punktem obrad były debaty wywołane wnioskiem Zarządu *w sprawie przynależności zabitej na polowaniach zbiorowych zwierzyny do T-wa*. Wniosek ten był następujący:

1) Polowanie zbiorowe urządza swoim kosztem T-wo.

2) Zabita przez członków T-wa zwierzyna jak to: dzik, kozioł, lis i zając należą do T-wa wszystkie zaś inne drapieżniki, jak również ptactwo należą do myśliwego. Trofea myśliwskie jako to rogi kozła, szable dzika stanowią własność tego myśliwego, który odnośne zwierzę zabił.

3) Zabita zwierzyna będzie sprzedawana biorącym udział w polowaniu członkom T-wa po cenie o 20 proc. niżej rynkowej, albo osobom postronnym po cenie rynkowej Fundusze stąd osiągnięte mają być użyte na ochronę zwierzyny i podniesienia zwierzostanu.

4) Grubszą zwierzynę: dzika, kozła i lisa ma pierwszeństwo nabycia ten, kto ją zabił, w razie zaś zrzeczenia się przez niego kupna, takowa zostanie sprzedana dającemu więcej.

5) Zające sprzedaje się członkom T-wa biorącym udział w danem polowaniu w równej ilości, pierwszeństwo zaś nabycia nadwyżki mają ci członkowie, którzy zabili większą ilość zajęcy.

Po wyjaśnieniach p. hr. Komorowskiego i p. Friemana o przyczynach postawienia przez Zarząd T-wa powyższego wniosku zebrani po krótkiej dyskusji wniosek ten jednogłośnie uchwalili.

Przystąpiono do wyborów:

Na wniosek Zarządu umotywowany przez Prezesa p. Friemana został jednogłośnie wybrany Prezesem Honorowym Tow. Łowieckiego p. Dr. Stanisław Bryła — Vice Wojewoda Lubelski, delegatami i reprezentantami T-wa do Centr. Zw. Stow. Łowieckich w Warszawie zostali wybrani jednogłośnie pp. hr. Adam Komorowski i inżynier Stanisław Korczyński. Sekretarz T wa p. Ignacy Grąbczewski za trudy i gorliwą pracę poniesioną dla dobra T-wa został jednogłośnie wybrany na członka stałego.

Na wniosek p. hr. Komorowskiego poparty przez usilną prośbę Walnego Zgromadzenia, aby Zarząd T-wa pozostał nadal w tym samym zespole, Zarząd po krótkiej naradzie wyraził swoją zgodę i ze swej strony zaproponował zaprosić 3-ch członków T-wa do udziału w posiedzeniach Zarządu, a mianowicie pp. Feliksa Moskalewskiego, Stefana Jaegera i Henryka Czerwińskiego, jako znanych miłośników łowiectwa i najwybitniejszych myśliwych. Ogół zebranych jednogłośnie propozycję tę i zaproszenie zaaprobował.

Przewodniczący p. hr. A. Komorowski w serdecznych słowach podziękował Zarządowi, a w szczególności Prezesowi Zaarządu p E. Friemanowi za zasługi na polu łowiectwa, wszystkim zaś zebranym członkom T-wa za liczne przybycie na Zebranie, za zainteresowanie się sprawą podniesienia kultu owieckiego i za zgodną, harmonijną współpracę podczas obrad.

Myśliwy.

Sprawy bieżące.

Rozwiązanie zagadek ks. Niedbała.

Rozwiązanie zagadek brzmi: wyżły — łyżwy; fladry — flądry

Dobre rozwiązania nadesłali nam do Redakcji dotychczas PP. August Podsiadlik, sekretarz leśny (Rybnik), L. Osowski (st. leśnictwa), Kazimierz Kaucki, państwowy leśniczy (Rogulewo), M. Marlikowski (Suwałki), Izabela Sikorska, W. Zabiełło (Mińsk M.), L Szafran, państwowy leśn. (Lidzbark), W. Jakubowski (Warszawa), S. Jakubowski (Warszawa), A. Lassow (Gostyń), Kpt. Józef Nowak, 9 pap. (Biała Podlaska), T. Włoczewski (Poznań), Inż. St. Borczyński, kier. Nadleśnictwa (Drawsko), Mazurkiewicz (Niedrzwica, z Lubelska), Jan Makowiecki, (Lwów), Tad. P. Gołąb, leśnik (Olek p. Toruń). Dr. Przewoski (Świecie), Alfred Paruszewski (Poznań), Inż. Stanisław Moszkowski (Poznań), J. Różański (Bodzechów p. Ostrowiec), Jan Koraszewski (pow. Grudziądz.), Adam Remiszewski, starosta, (Rawa Ruska), Wł. Suchowiecki (p. Łokacze), Dr. Janusz Trzcieniecki (w Czortkowie), Antoni Stelmaszyk, leśniczy (p. Wysoko-Mazowieck), Józef Bellerman, leśn. (Jeziorno p. Sieraków).

Pozatem nadesłano kilkanaście błędnych rozwiązań.

Zgodnie z zapowiedzią, wspaniałe dzieło ks. Niedbała: „Z łowisk wielkopolskich“, otrzymają dwaj pierwsi nasi Szan Czytelnicy, którzy rozwiązanie nadesłali (pod uwagę bierze się datę wysłania listu z rozwiązaniem).

Nagroda więc przypadła: P. *Augustowi Podsiadlikowi*, sekretarzowi leśnemu, w Rybniku (Śląsk), oraz P. *Kazimierzowi Kauckiemu*[1]), leśniczemu państwowemu, Rogulewo, (poczta Zagórze Pomorskie).

Sz. ofiarodowcę ks. Niedbała (Poznań, Marcinkowskiego 1) zawiadamiamy niniejszym o rezultacie konkursu, dziękując Mu za przeznaczenie nagród i prosimy o wysłanie cennego swego dzieła pod adresem nagrodzonych Czytelników naszego pisma p. A. Podsiadlika i p. K. Kauckiego.

Dla trzech następnych rozwiązań Redakcja przeznaczyła dodatkowe nagrody w postaci „Venatora“ Włodzimierza Korsaka. Nagrody te przyznajemy:

PP. L. Osowskiemu — Poznań, M. Marlikowskiemu — Suwałki, Izabeli Sikorskiej — maj. Leśno p. Lubnia pow. Chojnice (Pomorze).

---

[1]) Nazwisko niewyraźnie napisane; — prosimy o przesłanie do Redakcji sprostowania jeśliśmy z błędem wydrukowali. (Przp, Red,).

Kronika nadużyć myśliwskich.

Od p. Administratora dóbr. Skrzydłów (z. Piotrkowska) majątku J. Reszkego otrzymujemy list następujący:

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Pozwalam sobie przy niniejszym załączyć nakaz płatniczy urzędu gminy Wancerzów; być może uzna Pan za stosowne poruszyć tą sprawę w naszem piśmie łowieckim, przekonany bowiem jestem, że jeżeli łowiectwo ma być opodatkowane to przedewszystkiem na własne potrzeby, których przecież niebrak.

Wyjaśnić uważam za konieczne, że *na opodatkowanych obszarach* [faktyczne polowanie t. j. *odstrzał zwierzyny nie jest uprawiany*; dzierżawimy przyległe do folwarków i leśnictwa grunta włościańskie ogółem około 2500 morgów, a w tej liczbie w gminie Wancerzów 340 hektr. jedynie by rozszerzyć teren ochrony i racjonalnej hodowli zwierzyny, by udostępnić naszym objazdowym i straży leśnej przyległe tereny włościańskie przy ściganiu kłusownictwa, by mieć prawo postawić w zimie budki dla kuropatw i bażantów i zasypać ziarno, by wolno nam było bronić własnych paśników dla zajęcy i sarn.

Okazuje się, że za te prawa trzeba jeszcze płacić 399 zł. 15 gr. rocznie. Przypuszczam, że komentarze są zbędne.

A. Danilczuk

Nakaz płatniczy brzmi:

Na zasadzie artykułu 19 Ustawy z dnia 11 Sierpnia 1923 r. (Dz. Ust. № 94 poz. 747) i § 13 rozporządzenia wykonawczego Min. Spr. Wewn. i Min. Skarbu do tej ustawy, z dnia 18 marca 1924 r. (Dz. Ust. № 31 poz. 317) oraz na zasadzie Statutu uchwalonego przez Radę Gminną 22/XII 1923 roku zatwierdzonego przez zebranie gminne 23/XII 1923 roku i przez władzę nadzorczą 23/I 1924 r. nakłada się na panów samoistny podatek od polowania za 1924 rok na rzecz gminy tutejszej z posiadanych i dzierżawionych terenów w gminie a mianowicie:

fol. Kłobukowice—Kuchary	547 hektar.	
wsi Kuchary	340 hektar.	
Razem.	997 hkt.	złot. 266-10
prócz tego z mocy p. 2 art. 21 tejże ustawy 50% dodatku inwestycyjnego		złot. 133,05
Razem		złot. 399—15

Powyższą kwotę na zasadzie artykułu § 4 Statutu winien pan wpłacić do kasy gminnej Wancerzów w ciągu dni 14 od daty doręczenia niniejszego nakazu; po upływie tego terminu suma powyższa będzie się liczyć jako zaległość i będzie ściągana przymusowo z doliczeniem ustawowych odsetek za zwłokę.

Pieczęć
gminy. Wójt gminy Wancerzów Jagod
Sekretarz Babczyński.

Rzecz oczywista nakaz powyższy jest podwójnem nadużyciem.

1. Od terenów myśliwskich na których „odstrzał zwierzyny nie jest uprawiany“ podatków gminnych się nie płaci, co wyraźnie zastrzega ustęp ustawy: „Od podatku wolni są posiadacze prawa polowania zupełnie nie wykonywujący tego prawa“ t. j. nie odstrzeliwujący zwierzyny.

2. Nadużyciem jest, jak poinformowano nas w najwyższym urzędzie łowieckim w Państwie, w Wydziale Łowieckim Min. Rolnictwa i D. P.—14 dniowy termin płatności.

Incydent podajemy do publicznej wiadomości, by ostrzedz ogół kolegów myśliwych przed nadużyciami gmin, co jest na porządku dziennym, jako skutek bezmyślnej ustawy.

P. Administratorowi dóbr Skrzydłów radzimy sprawę skierować niezwłocznie na drogę sądową o podwójne nadużycie, przeciwko władzom gminy.

Wobec przytoczonej przez nas opinji najwyższej władzy łowieckiej w Polsce — wynik sprawy sądowej jest z góry przesądzony na niekorzyść gminy.

RYBOŁÓWSTWO.

Szkolnictwo rybackie.

Szkolnictwo rybackie u nas ograniczało się dotąd jedynie do wyższego, w którym posiadamy trzy katedry: w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie, w Poznaniu i Krakowie, poza któremi istnieją wykłady o hodowli ryb w Politechnice Lwowskiej na wydziałach: rolnym i leśnym.

Katedra w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego, zapoczątkowana w 1918 r. jako docentura, powstała w 1920 r. Na piątym i szóstym semestrze są tam wykładane następujące przedmioty: 1) hodowla ryb ogólna i szczegółowa, 2) systematyka i biologja, 3) encyklopedja rybactwa i 4) choroby ryb. Oprócz wykładów są prowadzone ćwiczenia w pracowni rybackiej, oraz organizowane wycieczki rybackie.

Katedra w Krakowie, czynna przez krótki czas w czasie wojny, wznowiona została w 1923/1924 r. Katedra w Poznaniu powstała również w 1923/24 r.

Szkolnictwa średniego i niższego nie mamy wcale, dopiero w roku bieżącym powstał projekt założenia niższej szkoły rybackiej w Kościerzynie, oraz stałych kursów dokształcających dla nauczycieli szkół powszechnych w powiatach, posiadających obszary wód.

Oświata pozaszkolna o charakterze popularyzacyjnym, znajduje się na stosunkowo wysokim poziomie. W 1920 i 1922 r. przy pomocy Towarzystw i Inspektorów Rybackich były zorganizowane dwu i trzydniowe kursa rybackie. cieszące się dużem zainteresowaniem. Kursy w Bydgoszczy, które poza praktycznemi wykładami były demonstrowane przez pokazy na jeziorze Gopło, miały 220 słuchaczy. Kursy dla rybaków morskich w Tczewie, urządzone staraniem Towarzystwa Przyjaciół Rybaków Morskich, w czasie których rybacy mieli możność teoretycznego i praktycznego zapoznania się z motorami, wzbudziło duże zainteresowanie na wybrzeżu.

Wreszcie w rozmaitych miastach jako to: we

Lwowie, Krakowie, Poznaniu, Grudziądzu, Bydgoszczy, Białymstoku i Suwałkach były zorganizowane 3 — 5 dniowe kursy rybactwa dla funkcjonarjuszy policji. Wszędzie kursy te, i wykłady, zastosowane do potrzeb ustawy rybackiej i przepisów policyjnych przy jednoczesnem demonstrowaniu okazów ryb i narzędzi rybackich, cieszyły się dużą bardzo frekwencją.

Zofja Oraczewska.

Reglamentacja rybołówstwa i państwowe zarybianie.

Obecne ustosunkowanie czynników interesowanych w rybactwie jest tego rodzaju, że jedynie i przedewszystkiem władza rządowa winnaby dążyć do uregulowania stosunków rybackich. Dlaczego? — Rząd bowiem wszędzie i zawsze jest wyrazicielem wspólnych interesów wszystkich obywateli, tam gdzie poszczególny interes nie da się wyosobnić i oddzielnie obronić. Zrozumiałem jest dlaczego pierwszym obowiązkiem Rządu jest bronić całości Rzeczypospolitej, strzec granic: 45% preliminowanego budżetu, a blisko 60% istotnie dokonywanych wydatków Skarbu Państwa na ten cel jest najlepszym dowodem zrozumienia tego obowiązku. Otóż tak samo, lecz nie w tej mierze, powołanym jest Rząd do obrony wspólnych i nie dających się rozgraniczyć interesów poszczególnych właścicieli prawa rybołóstwa. Pozostawione dobrej woli uprawnionych rybołóstwo na wodach otwartych i przybeżnych morskich spotka ten sam los, jaki spotka każde Państwo, gdzie obronę granic lub ochronę porządku publicznego zostawi się dobrej woii zalnteresowanych obywateli.

Ten moment, że gospodarstwo rybne na wodach otwartych, łączy w jedną całość objekty poszczególnych właścicieli, oraz że objekty te nie posiadają charakteru odrębnych jednostek gospodarczych, które można byłoby samodzielnie i niezależnie od sąsiednich jednostek zagospodarować, jest podstawą ustawodawstwa rybnego we wszystkich krajach cywilizowanych, a ustawodawstwo to, mając charakter mniej lub więcej daleko posuniętej reglamentacji stosunków gospodarczych ustala prawa i obowiązek Rządu w tym zakresie.

Wspólność interesów wszystkich właścicieli prawa rybołóstwa stała się główną przyczyną dzisiejszego wyjałowienia wód, ponieważ wykluczonem jest żeby mógł powstać z rozproszonych elementów jakiś związek czy stowarzyszenie, które jedynie na podstawie dobrowolnej umowy i zrozumienia własnych interesów miało zaprowadzić racjonalną eksploatację naturalnych bogactw rybnych.

Wszelką zaś inicjatywę poszczególnych jednostek powinna była wstrzymać obawa, że właśnie wskutek gospodarczej łączności poszczególnych objektów, część, a może i cała korzyść poczynionych inwestycji i ulepszeń spłyną na sąsiednie tereny wód, a z drugiej strony nie da się niczem ochronić siebie od ujemnych wpływów rabunkowej gospodarki na tych cudzych terenach.

Ten stan rzeczy, obok nie tak dawno jeszcze powszechnie istniejącego przesądu, że wody mogą dostarczyć nieograniczoną ilość produktów rybnych — doprowadził do zniszczenia bogactw rybnych, doprowadził do obecnego zaniku rybołówstwa. Ale jednocześnie w połowie zeszłego wieku wywołał reakcję, kiedy niemal we wszystkich krajach zostały powołane liczne komisje rzeczoznawców do zbadania stanu rybołówstwa i opracowania wniosków.

Od tego czasu rozpoczęła się energiczna działalność instytucji powołanych przez rozmaite rządy do badania spraw rybackich, a w dostosowaniu się do wyników tych badań akcja rządowa szła w dwóch kierunkach: 1) w kierunku reglamentacji stosunków gospodarczych drogą ustaw i przepisów administracyjnych wydanych na podstawie tych ustaw, oraz 2) w kierunku szeroko ujętej akcji gospodarczej i sztucznego wylęgu ogromnej ilości zagrożonych gatunków ryb, celem zarybiania wód kosztem Skarbu Państwa.

To nie jest zabytkiem etatyzmu, gdyż właśnie wojna sprzyjająca etatyzmowi, wstrzymała czasowo rozpęd akcji poszczególnych krajów w tym zakresie. To nie jest utopją, lub pomysłem niedojrzałym, gdyż największy rozwój państwowego zarybiania wód widzimy w Ameryce, a świeżo wydana ustawa w końcu ubiegłego roku w Holandji idzie po linji daleko idącej reglamentacji rybołówstwa. Nawet kraj przysłowiowej swobody prywatnych stosunków gospodarczych — Anglja, spotkawszy się z zagadnieniem zaniku łososia i wogóle rybołówstwa na wodach słodkich, nie znalazła innej rady, jak zalecić parlamentowi wprowadzenie reglamentacji, z przepisami administracyjnemi ochronnemi i inspektoratami rybackiemi.

Józef Borowik.

(*D. c. n.*).

Rozmaitości.

Ochrona przyrody na granicy polsko-czechosłowackiej.

W wykonaniu uchwał konferencji krakowskiej z ustaleniem protokułów spiskich, odbyły się w Ministerstwie Robót Publicznych w Pradze w dn. 6 czerwca 1924 r. konferencje w sprawie utworzenia terenów ochrony przyrody na pograniczu polsko-czechosłowackiem i kolonje turystyczne. W konferencjach wzięli udział ze strony polskiej komisarz graniczny prof. W. Szafer i dr. S. Kulczyński, członkowie Prezydjum Państwowej Komisji ochrony przyrody, ze strony czechosłowackiej inż. V. Roubik i inż. Durych, komisarze graniczni: prof. V. Dvorsky i dr. Mühlam z Prezydjum czechosłowackiego Klubu Turystów. Na konferencjach porozumiano się co do ujednostajnienia ogólnego ustawodawstwa ochrony w obu państwach oraz konkretnego utworzenia parków narodowych na pograniczu polsko-czechosłowackiem, na podstawie już wykonanych z obu stron prac, szczególnie w Tatrach i Pieniach Nadto ustalono zasady ogólnej konwencji turystycznej dla całego pogranicza polsko-czechosłowackiego i rozdzielo-

no materjał do wygotowania odnośnych projektów i ustaw. Celem ostatecznego zawarcia umów, postanowiono na zaproszenie strony polskiej odbyć następną konferencję w Zakopanem, w pierwszej połowie sierpnia b r. z udziałem wszystkich zainteresowanych czynników rządowych i społecznych.

Poraniony przez odyńca.

P. Wacław Mścichowski z Warszawy biorąc udział w polowaniu na dzika w maj. Pabierowice w pow. Grójeckim został stratowany i ciężko poraniony przez olbrzymiego odyńca do którego dwa razy strzelał. Rozjuszonego zwierza celnym strzałem powalił p. Szyszko.

Z ostatniej chwili.

Ministerstwo Rolnictwa stając w obronie zagrożonego bytu łowiectwa — jak nas informują — zwraca się dziś do Min. Spraw Wewnętrznych z szeroko umotywowanym wnioskiem obniżenia podatków gminnych od polowania w I, II i III strefie dziesięciokrotnie w stosunku do rozporządzenia w Dz. Ust. Nr. 31 poz. 317 par. 13, a w IV strefie — czterdziestokrotnie.

Nie wątpimy, że ogół myśliwych powita tę wiadomość radośnie.

Do Numeru niniejszego dołączamy prospekt „Rolnika", pisma rolniczego ze świetnie prowadzoną kroniką łowiecką.

Adres Komitetu Organizacyjnego Myśliwskiej Spółki Wydawniczej: Warszawa, Chmielna 32. Prezes Józef Błeszyński.

Pod powyższym adresem przesyłać należy deklaracje na udziały.

Redaktor Naczelny: Juljan Ejsmond. **Komitet Redakcyjny:** Gen. Bronisław Grąbczewski, Józef Błeszyński, Wł. Janta Połczyński, Włodzimierz Korsak i Józef Gieysztor.

Redaktor przyjmuje od godz. 1 — 2 we środy w mieszk. prywatnem Pl. Trzech Krzyży 12 m. 3a.

Redakcja i Administracja: Szpitalna 12. Warszawa.

Numer obecny jako podwójny (13 i 14) w cenie **1 zł. 20 gr.** Pren. kw. (z odsył. do domu)—**3 zł.** Konto czekowe w P. K. O. № 7595

Cena ogłoszeń: strona — **40 zł.**; 1/2 str. — **25 zł.**; 1/4 str. **15 zł.**; 1/8 str. — **8 zł.**; 1/16 **5 zł.** Cena pierwszej i ostatniej. strony o 50 proc. drożej.